

ERICH SEGAL
**LOVE
STORY**

ISKRY



Erich Segal urodził się w Nowym Jorku w roku 1937. Ukończył Uniwersytet Harwardzki i jest profesorem literatury klasycznej. Jako pisarz ma na swoim koncie publikacje z dziedziny grecko-rzymskiej kultury starożytnej, spośród których najbardziej znana to „Rzymski śmiech” (Roman Laughter).

Sukces pierwszego scenariusza — do filmu Beatlesów „Żółta łódź podwodna” — zapoczątkował współpracę Segala z Hollywoodem, stawiając go w rzędzie najbardziej wziętych autorów scenariuszy. Film „Love Story” ugruntował tę pozycję pisarza, a opublikowana w roku 1970 powieść pod tym samym tytułem, tłumaczona na wiele języków, zrobiła światową karierę jako jeden z najgłośniejszych bestsellerów.

Bezpretensjonalna, można nawet śmiało powiedzieć, banalna historia miłości dwojga młodych zawdzięcza swoje powodzenie nie tylko znajomości amerykańskiego środowiska uniwersyteckiego, o którym Segal pisze, ale także umiejętności myślenia kategoriami młodzieży w ogóle i dostrzegania jej problemów przez autora, jak również świeżości podejścia do „wstydliwego” dziś niejako tematu czystego, autentycznego uczucia.

ERICH SEGAL
LOVE
STORY

CZYLI O MIŁOŚCI

Przełożyła
Anna Przedpełska-Trzeciakowska

ISKRY
Warszawa 1989

Tytuł oryginału
Love Story

Opracowanie graficzne
Anna Wunderlich

Redaktor
Zofia Uhrynowska

Redaktor techniczny
Anna Kwaśniewska

Korektor
Jolanta Spodar

ISBN 83-207-1234-3

Copyright © 1970 by Erich Segal
All rights reserved by the Author throughout the world

For the Polish edition copyright © by Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa, 1989

Państwowe Wydawnictwo „Iskry”, Warszawa 1989 r.
Wydanie II. Nakład 299 700+300 egz.
Ark. wyd. 5. Ark. druk. 5.
Papier offset. kl. V, 70 g, 61×86.
Łódzka Drukarnia Dziełowa, Zakład nr 3
Tomaszów Mazowiecki, ul. Farbiarska 32/34
Zam. nr 2/1102/89 A-89

1

Co można powiedzieć o dwudziestopięcioletniej dziewczynie, która umarła?

Że była śliczna. I piekielnie inteligentna. Że kochała Mozarta i Bacha. I Beatlesów. I mnie. Kiedyś, kiedy sypnęła mi jeden po drugim nazwiskami tych facetów od muzyki, zapytałem, w jakim ich ustawia porządku, a ona odpowiedziała ze śmiechem: „Alfabetycznym”. Wtedy ja też się śmiałem. A teraz siedzę i zastanawiam się, czy mnie ustawiała wedle imienia — w takim wypadku byłbym tuż za Mozartem — czy nazwiska — wtedy tkwiłbym gdzieś między Bachem a Beatlesami. Tak czy inaczej, nie jestem pierwszy na liście, co z jakiegoś kretyńskiego powodu cholernie mnie wnerwia, bo wyrastałem w przekonaniu, że zawsze muszę być pierwszy. To, widzicie, dziedziczne.

* * *

Jesienią ostatniego mojego roku w college'u * zwykłem uczyć się w bibliotece Radcliffe **. Nie tylko po to, żeby oglądać babki, chociaż muszę przyznać, że lubiłem sobie popatrzeć. Cicho tam było, nikt mnie nie znał i mniej się pchało chętnych do książek zarezerwowanych do czytania na miejscu. Właśnie miało być jakieś kolokwium z historii, a ja na dzień przedtem nie zabrałem się nawet do pierwszej książki z listy obowiązkowej lektury, co było harwardzką chorobą lokalną. Poszedłem sobie spokojnie do działu książek czytanych na miejscu, żeby wziąć jeden z tomów, który pozwoliłby mi jutro jakoś się prześliznąć.

Dzysur miały dwie dziewczyny. Jedna wysoka, taka raczej bez-

* College — czteroletnie studia wyższe, po ukończeniu których można wstąpić do jednej z uniwersyteckich szkół zawodowych, jak prawnicza czy medyczna. (Wszystkie przypisy tłumaczki).

** Jeden z najlepszych amerykańskich uniwersytetów dla kobiet, obecnie autonomiczna część Harvardu.

ptciowa, druga myszowata okularnica. Zdecydowałem się na Miki Mouse w okularach.

— Czy macie „Jesień średniowiecza”?

Obrzuciła mnie spojrzeniem.

— A czy nie macie własnej biblioteki?

— Przepraszam, Harvard ma prawo korzystać z biblioteki Radcliffe'u.

— Nie chodzi mi o prawo, Snobku. Chodzi mi o moralność. Macie u siebie pięć milionów książek. My mamy zakichane kilka tysięcy.

O rany! Co za tony! Myśli, że jak stosunek liczbowy Radcliffe do Harvardu jest pięć do jednego, to dziewczyny muszą być pięć razy dowcipniejsze. Normalnie nie zostawiłbym na niej suchej nitki, ale strasznie mi była potrzebna ta cholerna książka.

— Słuchaj, cholernie mi jest ta książka potrzebna.

— Czy mógłbyś uważać, jak się wyrażasz, Snobku?

— Skąd ta pewność, że jestem snob?

— Bo wyglądasz na bogatego i głupiego — odpowiedziała zdejmując okulary.

— Mylisz się — odpartem. — Jeśli idzie o ścisłość, jestem ubogi i mądry.

— Nieprawda, to ja jestem uboga i mądra.

Patrzyła mi prosto w oczy. Jej oczy były brązowe. Zgoda, może i wyglądam na bogatego, ale nie pozwolę, żeby jakaś tam z Radcliffe'u — choćby nawet z ładnymi oczami — nazywała mnie idiotą.

— A na czym opierasz przekonanie o swojej mądrości? — zapytałem.

— Na tym, że nie poszłabym z tobą na kawę.

— Bo ja bym cię nigdy nie zaprosił.

— To właśnie dowodzi — wyjaśniła — że jesteś głupi.

Pozwólcie, że wytłumaczę, dlaczego zaprosiłem ją jednak na kawę. Otóż dzięki zręcznej kapitulacji w krytycznym momencie — udałem, że mi nagle przyszła ochota wypić z nią kawę — zdobyłem moją książkę. A że dziewczyna nie mogła się ruszyć przed zamknięciem biblioteki, miałem mnóstwo czasu, by sobie przyswoić kilka treściwych zdań na temat zmian w stosunkach panujących w XI wieku na dworze pomiędzy królem, duchowieństwem i prawnikami. Dostałem z tego pięć mniej i akurat tak samo oceniłem nogi Jenny, kiedy wyszła zza tego swojego kontuaru. Nie mogłem jednak dać najwyższej oceny jej kiecce, na mój gust zbyt wycudacznionej; zwłaszcza ohydna była ta indiańska szmata,

którą nosiła jako torebkę. Na szczęście nic nie powiedziałem, potem okazało się, że to jej własna robota.

Poszliśmy do restauracji Mini, takiej pobliskiej taniej dziury, która mimo swej nazwy nie ogranicza się do klienteli małego wzrostu. Zamówiłem dwie kawy i ciastko czekoladowe z lodami (dla niej).

— Nazywam się Jennifer Cavilleri — powiedziała. — Jestem Amerykanką włoskiego pochodzenia. — Jakbym tego nie wiedział. — I robię specjalizację z muzyki — dodała.

— Nazywam się Oliwer — oznajmiłem.

— To imię czy nazwisko?

— Imię — powiedziałem, a potem przyznałem się, że w całości nazywam się Oliwer Barrett (przynajmniej niemal w całości).

— Och — powiedziała. — Barrett jak poetka?

— Tak — odparłem. — Ale to nie rodzina.

W chwili milczenia odetchnąłem w duchu, że nie wystąpiła ze zwykłym strasznym pytaniem: „Barrett tak jak gmach?” Mam bowiem szczególne szczęście, jakim jest fakt pokrewieństwa z facetem, który zbudował Gmach Barretta, największy i najohydniejszy budynek uniwersytecki, monumentalny pomnik rodzinnej fortuny, próżności i obnoszonej przynależności do Harvardu.

Potem milczała. Czyżby tak szybko wyczerpały nam się tematy? Czyżbym ją zamknął tym, że nie jestem spokrewniony z poetką? Siedziała po prostu z takim półśmiechem w moim kierunku. Z braku zajęcia zacząłem przeglądać jej bruliony. Miała takie śmieszne pismo — małe, drobne, kanciaste — i w ogóle nie używała dużej litery (co ona sobie myśli? że jest e. e. cummings? *). I wybrała sobie takie cholernie wymyślne kursy **. Literatura Porównawcza 105. Muzyka 150. Muzyka 201.

— Muzyka 201? Czy to nie jest kurs podyplomowy?

Przytaknęła i nie bardzo potrafiła ukryć dumę.

— To polifonia renesansowa.

— Co to jest polifonia?

— Nic związanego z seksem, Snobku.

Czemu pozwalałem jej na to? Czy ona nie czyta „Crimson” ***? Nie wie, kto ja jestem?

* Edward Estlin Cummings — współczesny amerykański pisarz i malarz, absolwent Harvardu. Znany z oryginalności formy i poszukiwań nowych środków wyrazu, m.in. z tego, że nie używał dużych liter.

** Kursy — student college'u w Stanach Zjednoczonych otrzymuje na początku roku listę numerowanych kursów, czyli cykli wykładów, z których obowiązują kolokwia i egzaminy. Każdy kurs jest punktowany. Odpowiednia ilość punktów uprawnia do zaliczenia roku. Student może sobie wybrać najbardziej interesujące kursy związane z obroną przez siebie dziedziny, w której się specjalizuje.

*** „Crimson” — studencka gazeta w Harvardzie, źródło informacji o osiągnięciach sportowych drużyn Harvardu i ich członków.

— Słuchaj, czy ty nie wiesz, kto ja jestem?
— Pewno, że wiem — odpowiedziała jakby z pogardą. — Ty jesteś ten facet, co ma Gmach Barretta.

Nie wiedziała, kto jestem.

— Nie mam Gmachu Barretta — wykręciłem się. — Tak się złożyło, że mój pradziad ofiarował ten gmach Harvardowi.

— Żeby w przyszłości jego prawnuk miał łatwy wstęp na uniwersytet.

Tego już było dość.

— Jenny, jeśli masz mnie za taką szmatę, to czemu sprowokowałaś mnie, żebym ci postawił kawę?

Spojrzała mi prosto w oczy i uśmiechnęła się.

— Podoba mi się twoje ciało — odparła.

Zwycięzca dużej klasy musi umieć równie dobrze wygrać jak przegrać. To nie żaden paradoks. Umiejętność obracania każdej przegranej w zwycięstwo jest cechą typowo harwardzką.

— To pech, Barrett! Graliście jak szatany.

— Och, naprawdę, tak się cieszę, że wygraliście dzisiaj. To znaczy, widzisz, wam tak bardzo była ta wygrana potrzebna.

Oczywiście normalne zwycięstwo jest lepsze. Ale chcę powiedzieć, że jeśli można wybierać czas, to najlepiej strzelić bramkę w ostatnim momencie. Kiedy odprowadzałem Jenny do jej bursy, nie straciłem jeszcze nadziei na ostateczne zwycięstwo nad tą głupią raszplą z Radcliffe.

— Słuchaj, ty raszplo, w piątek wieczór jest mecz hokejowy z Dartmouth.

— No to co?

— No to chciałbym, żebyś przysła.

Odpowiedziała z typowym dla Radcliffe szacunkiem dla sportu.

— A po jaką cholerę miałabym przychodzić na jakiś kretyński mecz hokejowy?

Odpowiedziałem jak gdyby nigdy nic.

— Dlatego, że ja gram.

Nastąpiła krótka cisza. Chyba słyszałem padający śnieg.

— Po czyjej stronie? — spytała.

Oliwer Barrett IV

Ostatni rok college'u.

Szkoła średnia: Philips Exeter.

Adres: Ipswich, Massachusetts.

Wiek: 20 lat.

Wzrost: pięć stóp jedenaście cali.

Waga: 185 funtów.

Specjalizacja: nauki społeczne.

Był na liście dziekańskiej w latach: 1961, 1962, 1963.

*Członek reprezentacyjnej drużyny Ivy-League * w 1962 i 1963 roku.*

Zamierzone studia zawodowe: prawo.

Jenny musiała już przeczytać moją biografię w programie. Sprawdziałem trzykrotnie, czy Claman, menażer, dopilnował, żeby dostała program.

— Chryste Panie! Czy to twoja pierwsza dziewczyna, Barrett?

— Zamknij się, Vic, bo wyplujesz zęby.

Kiedy rozgrzewaliśmy się na lodzie, nie pomachałem jej ręką (co za brak tupetu) ani nawet nie spojrzałem w jej stronę. A jednak ona chyba myślała, że na nią spoglądam. Bo przecież nie z szacunku dla flagi zdjęła okulary podczas hymnu.

W połowie drugiej tercji tłukliśmy Dartmouth 0:0. To znaczy ja i Dave Johnston mieliśmy ochotę rozwalić im siatkę. Zielone ** sukiny-syny zwęszyły to i zaczęły grać ostrzej. Może udałoby im się posiniaczyć nas trochę, nim zdążylibyśmy ich rozłożyć. Tłum kibiców wrzeszczał już żądny krwi. I w hokeju naprawdę musi być krew, a jeśli nie krew, to gol. Noblesse oblige — nigdy nie skąpiłem im ani jednego, ani drugiego.

Al Redding, środkowy Dartmouth, skoczył naprzód przez naszą niebieską linię, łupnąłem w niego całym ciałem, odebrałem mu krążek i ruszyłem po lodzie. Kibice wyli, dostrzegłem po mojej lewej Daveya Johnstona, ale myślałem, że dam radę przepchnąć się do końca, bo ich bramkarz to był taki mięczak, którego już kiedyś zastraszyłem, kiedy grał dla Deerfield. Nim zdążyłem oddać strzał, obydwaj ich obrońcy już na mnie siedzieli i musiałem objechać ich bramkę, żeby się utrzymać przy krążku. No więc cała trójka tłukła się o deski bandy i o siebie nawzajem. Miałem zasadę, by zawsze, jak się robi taki tłok, walić z całej siły we wszystko, co nosi nieprzyjacielskie barwy. Gdzieś tam pod

* Ivy-League — zespół najlepszych uniwersytetów Wybrzeża Wschodniego: Harvard, Yale, Dartmouth, Columbia, Princeton, Uniwersytet Stanu Pensylwania, Brown, Amherst, Williams, Cornell.

** Zielony jest kolorem uniwersytetu Dartmouth.

naszymi łyżwami płątał się krążek, ale przez chwilę byliśmy pochłonięci wyłącznie tym, żeby z siebie nawzajem wytfuc, co się da.

Rozległ się gwizdek sędziego.

— Ty — dwie minuty kary.

Podniosłem wzrok. Wskazywał na mnie. Ja? A cóż takiego zrobiłem, żeby mnie karano?

— Ależ, panie sędzio, co ja zrobiłem?

Wyraźnie nie miał ochoty na dalszą rozmowę. Wołał właśnie do spikera: „Numer siedem — dwie minuty” — i sygnalizował rękami.

Protestowałem trochę, ale tylko dla formy. Tłum oczekuje protestu, bez względu na oczywistość wykroczenia. Sędzia odprawił mnie ruchem ręki. Kipiałem bezsilną wściekłością jadąc do ławki karnej. Kiedy byłem już przy niej, usłyszałem przez stukot moich łyżew po deskach skrzek megafonu:

— Kara. Barrett z Harvardu. Dwie minuty. Przytrzymanie.

Tłum zawył; kilku harwardczyków zakwestionowało dobry wzrok i bezstronność sędziego. Siedziałem, starając się złapać oddech, nie podnosząc oczu ani nie wyglądając zza barierki, gdzie Dartmouth bił nas liczebnie.

— Czemu tu tkwisz, kiedy wszyscy twoi przyjaciele są na lodzie?

Był to głos Jenny. Zignorowałem ją i zagrzewałem moich kolegów do boju:

— Naprzód, Harvard! Odebrać im krążek.

— Co złego zrobiłeś?

Obróciłem się i odpowiedziałem. Mimo wszystko przecież przyszedłem tu z nią.

— Za bardzo się starałem.

I znów przyglądałem się, jak moi koledzy usiłują przeszkodzić Alowi Reddingowi w jego upartych wysiłkach, żeby nam strzelić gola.

— Czy to wielka hańba?

— Jenny, proszę cię, staram się skoncentrować.

— Na czym?

— Na tym, jak dołożyć temu sukinsynowi Reddingowi. — Patrzałem na lód, by wesprzeć moralnie moich kolegów.

— Czy ty grasz nieczysto?

Wzrok miałem teraz utkwiony w naszej bramce, pod którą kłębiły się właśnie te zielone skurwiele. Nie mogłem się doczekać, kiedy dołączę do moich. Jenny była uparta.

— Ty byś i mnie potrafił dołożyć.

Odpowiedziałem nie odwracając głowy.

— Dołożę ci zaraz, jak się nie zamkniesz.

— Odchodzę. Żegnam.

Nim się obróciłem, już zniknęła. Kiedy wstałem, żeby się rozejrzeć, usłyszałem, że moje dwie minuty kary już się skończyły. Przeskoczyłem przez barierkę z powrotem na lód.

Tłum powitał mój powrót. Barrett na skrzydle, wszystko w porządku z drużyną. Bez względu na to, gdzie się schowała, słyszy na pewno, jaki entuzjazm wywołał mój powrót. Więc czy to ważne, gdzie ona jest?

Gdzie ona może być?

Al Redding oddał morderczy strzał, który nasz bramkarz odbił na Gene Kennaway, a ten puścił krążek po lodzie w moim kierunku. Kiedy pędziłem do krążka, wydało mi się, że mam ułamek sekundy, by rzucić okiem na trybuny w poszukiwaniu Jenny. Podniosłem wzrok. Zobaczyłem ją. Jest.

W następnej chwili siedziałem na tyłku.

Dwa zielone sukinsyny wpadły na mnie, tyłkiem szorowałem po lodzie i byłem — o rany! — speszony nie do uwierzenia. Barrett siedzi! Słyszałem jęk lojalnych kibiców Harvardu, kiedy mnie rzuciło. Słyszałem radosne wycie żądnych krwi kibiców Dartmouth.

— Bić ich! Bić ich!

Co sobie Jenny pomyśli.

Dartmouth miał znowu krążek, gdzieś koło naszej bramki, i znowu nasz bramkarz obronił się przed ich strzałem. Kennaway podał krążek do Johnstona, który podał do mnie (już stanąłem na nogi). Tłum wył. Teraz musi być gol. Złapałem krążek i puściłem się jak szalony przez niebieską linię Dartmouth. Dwaj obrońcy Dartmouth walili prosto na mnie.

— Oliwer, Oliwer! Szybciej! Wal ich!

Usłyszałem nad tłumem ostry krzyk Jenny. Co za nieprawdopodobnie gwałtowny wrzask! Przeszedłem zwodem jednego obrońcę, zbodiczkowałem drugiego tak, że stracił dech, a potem — zamiast strzelać bez równowagi — podałem do Daveya Johnstona, który podlegał od prawej. Davey kropnął im prosto w siatkę. Gol dla Harvardu!

W następnej chwili wszyscyśmy się całowali i ściskali. Ja i Davey Johnston, i reszta chłopaków. Ściskaliśmy się i całowaliśmy, i skakaliśmy (na tyżwach), i waliliśmy się po plecach. Tłum wrzeszczało. A ten facet z Dartmouth, którego zbodiczkowałem, wciąż siedział na lodzie. Kibice rzucali programy na lód. To naprawdę przetrąciło Dartmouthowi kręgosłup (użyłem metafory: ten obrońca podniósł się, jak złapał oddech). Wleliśmy im 7:0.

*

Gdybym był sentymentalny i na tyle przywiązany do Harvardu, żeby sobie wieszać fotografie na ścianie, nie wieszałbym zdjęcia Gmachu Winthropa czy Kościoła, tylko Hali Dillona, Hali Sportowej Dillona. Jeśli w ogóle miałem jakiś duchowy dom w Harvardzie, to właśnie tutaj. Nate Pusey * może mi za to cofnąć dyplom, ale Biblioteka Widenera znaczy dla mnie o wiele mniej niż Dillon. Każdego popołudnia przez całe moje życie w college'u szedłem tam, witany przez kumpli przyjaznym świntuszeniem, zrzucałem z siebie cywilizowane łachy i zamieniałem się w sportowca. Co za wspaniałe uczucie — nałożyć ochraniacze i pocziwą starą koszulę numer 7 (marzyło mi się w snach, że wycofali ten numer, ale nie wycofali), wziąć łyżwy i wyjść sobie na lodowisko Watson.

Powrót do Dillona był jeszcze przyjemniejszy. Zdierało się przepoczone łachy i zasuwano na gołką do magazynu po ręcznik.

— Jak leci, Ollie?

— Dobrze, Richie! W porządku, Jimmy.

A potem pod prysznic, żeby posłuchać, kto z kim w ostatnią sobotę wieczór i ile razy.

— Wiesz, dorwaliśmy te babki z Mount Ida... — Miałem przywilej posiadania prywatnego miejsca do kontemplacji. Zawdzięczałem je błogosławieństwu kontuzji stawu kolanowego (tak jest, błogosławieństwu: widzieliście moją kartę rekrutacyjną?), któremu musiałem aplikować masaż wodny po każdej grze. Mogłem siedzieć wpatrzony w kręgi wody rozbiegające się od mego kolana, rejestrować wszystkie skaleczenia i siniaki (miłe mi były właściwie) i tak sobie myśleć o czymś albo o niczym. Dziś wieczór mogłem rozmyślać o gołu, podaniu do strzału i że to właściwie przesądziło o moim trzecim kolejnym roku w mistrzowskiej drużynie Ivy-League.

— Bierzesz masaż. Ollie?

Był to Jackie Felt, nasz trener i samozwańczy przewodnik duchowy.

— A co myślałeś, że stoję na obronie?

Jackie zarechotał; głupawy uśmiech rozjaśnił jego twarz.

— Wiesz, co jest z tym twoim kolaniem, Ollie? Wiesz?

Badali mnie wszyscy ortopedzi na Wschodnim Wybrzeżu, ale Felt był mądrzejszy.

— Ty się źle odżywasz.

Nie bardzo mnie to zainteresowało.

— Jesz za mało soli.

Może jak się zgodzę, to się odczepi.

* Ówczesny rektor Harvardu, doktor Nathan Pusey.

— Dobra jest, Jack, będę jadł więcej soli.

Rany, jaki był zadowolony! Odszedł z wyrazem niesamowitej satysfakcji na tej swojej głupiej gębie. Tak czy inaczej, byłem znowu sam. Wsunąłem całe przyjemnie obolałe ciało w kłębiącą się wodę, przymknąłem oczy i siedziałem tak, pogrążony po szyję w ciepłe. Aaaach!

O rany, Jenny pewno tam czeka na dworze! Mam nadzieję, że czeka. Jeszcze! Tak długo pływałem się w tej rozkoszy, a ona tam, na tym cholernym zimnie. Ustanowiłem nowy rekord szybkości ubierania. Nie byłem jeszcze całkiem suchy, kiedy pchnąłem środkowe drzwi Dillona.

Uderzyło mnie zimne powietrze. O rany, co za mróz. I ciemność. Jeszcze pozostała niewielka grupka kibiców. Na ogół to starzy, wierni hokejowi byli wychowankowie, którzy — w sensie duchowym — nigdy nie zdjęli ochraniaczy. Taki na przykład Jordan Jencks przyjeżdża na każdy mecz — tu czy poza uniwersytetem. Jak oni to robią? Bo przecież Jencks to wielki bankier. I dlaczego oni to robią?

— Aleś się rąbnął, Oliwier!

— Tak, proszę pana, ale pan wie, jak oni grają.

Rozglądałem się wszędzie za Jenny. Czyżby wyszła i pomaszerowała cały ten kawał drogi do Radcliffe sama?

— Jenny?

Odszedłem kilka kroków od kibiców, szukając jej rozpaczliwie. Wychynęła nagle zza krzaka, twarz miała zakutaną szalikiem, widać było tylko oczy.

— Hej, Snobku, zimno tu jak cholera!

Jakże się ucieszyłem na jej widok.

— Jenny!

Tak jakoś, automatycznie, pocałowałem ją lekko w czoło.

— Czy ja ci powiedziałam, że wolno?

— Co wolno?

— Pocałować mnie.

— Przepraszam, zmysty mnie poniosły.

— Mnie nie.

Dokoła nas właściwie nikogo nie było — ciemno, zimno i późno. Pocałowałem ją jeszcze raz. Ale nie w czoło i nielekkko. Trwało to całkiem długą chwilę. Kiedy przestaliśmy się całować, Jenny wciąż trzymała mnie za rękaw.

— Nie podoba mi się — powiedziała.

— Co?

— To, że mi się podoba.

Kiedy wracaliśmy piechotą (mam samochód, ale Jenny chciała się

przejsć), cały czas trzymała mnie za rękaw. Nie za rękę, ale za rękaw. Nie każcie mi tego tłumaczyć. Na progu Briggs Hall nie pocałowałem jej na dobranoc.

— Słuchaj, Jenny, mogę do ciebie nie dzwonić przez kilka miesięcy. Chwilę milczała. Kilka chwil.

Wreszcie zapytała:

— Dlaczego?

— Albo mogę do ciebie zadzwonić zaraz jak wrócę do bursy.

Odwrociłem się.

— Skurwieł! — usłyszałem jej szept na odchodnym.

Odwinałem się i strzeliłem gola z dystansu dwudziestu stóp.

— Widzisz, Jenny, umiesz kogoś załatwić, a nie potrafisz przegrać.

Bardzo bym chciał zobaczyć wyraz jej twarzy, ale względy strategiczne nie pozwoliły mi się odwrócić.

Kiedy wszedłem do pokoju, mój współlokator, Ray Stratton, grał w pokera z dwoma kumplami od futbolu.

— Jak się macie, byki.

Odpowiedziały mi zwierzęce odgłosy.

— Z czym dziś przychodzisz, Ollie? — spytał Ray.

— Z asystą i golem — odparłem.

— U Cavilleri?

— Nie twoja sprawa.

— Co to za babka? — zapytał jeden z potworów.

— Jenny Cavilleri — odparł Ray. — Taka jedna kopnięta od muzyki.

— Znam ją — powiedział inny. — Niezła dupa.

Rozplątywałem sznur telefoniczny i brałem aparat do swojej sypialni nie zwracając uwagi na tych chamskich rozparzonych skurczybyków.

— Gra na fortepianie w Towarzystwie Bachowskim — powiedział Stratton.

— A w co gra z Barrettem?

— Podobno w ciuciubabkę.

Rechot, porykiwania, chrząkania. Byki się śmiały.

— Panowie — zwróciłem się do nich wychodząc. — Dostyc tego chrzanienia.

Zamknąłem drzwi za nową tałą jaskiniowych odgłosów, zdjąłem buty, położyłem się na łóżku i nakręciłem numer Jenny.

Rozmawialiśmy szeptem.

— Hej, Jen...

— Tak?...

— Jen... co ty na to, gdybym ci powiedział...
Zawahałem się. Czekają.
— Wydaje mi się, że się w tobie zakochałem.
Pauza. Potem odparła bardzo miękko.
— Powiedziałabym... pieprzysz.
Odłożyła słuchawkę.
Nie byłem niezadowolony. Ani zdziwiony.

3

Poharatali mnie na meczu z Cornell.

Tak naprawdę to była moja wina. W momencie uniesienia popełniłem fatalny błąd: nazwałem ich środkowego napastnika „zasranym Kanadyjcem”. Moje niedopatrzenie polegało na tym, że całkiem zapomniałem, iż oni mają w drużynie czterech Kanadyjczyków, jak się okazało, dobrze zbudowanych i wielkich patriotów znajdujących się akurat w zasięgu mojego głosu. Do krzywdy dodali mi jeszcze zniewagę, bo wlepili mi karę. I to nie było jakąś pięć minut za bójkę. Żebyście styszeli kibiców Cornell, jak mi dołożyli po ogłoszeniu tej kary. Niewielu kibiców Harvardu mogło się wybrać taki opętany szmat drogi do Ithaca w stanie Nowy Jork, mimo że rozgrywka szła o mistrzostwo Ivy-League. Pięć minut! Widziałem, włączając na ławkę kar, jak nasz kapitan rwie sobie włosy z głowy.

Natychmiast przygnał do mnie Jackie Felt. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że cała prawa strona mojej twarzy to krwawa miazga.

— Rany boskie — powtarzał bez końca wodząc mi laseczką lapisu po twarzy. — Rany boskie, Ollie.

Siedziałem spokojnie ze wzrokiem błędnie utkwionym przed siebie. Wstyd mi było patrzeć na lód, gdzie moje najgorsze obawy szybko się spełniły: Cornell strzelił gola. Czerwone kibice³ wrzeszczały, ryczały i trąbiły. Gówno. Całkiem prawdopodobne, że Cornell wygra ten mecz — a z tą wygraną zdobędzie mistrzostwo Ivy-League.

Po drugiej stronie lodowiska siedziała w ponurym milczeniu malutka grupka harwardzka. Kibice obydwu stron już o mnie zapomnieli. Tylko jeden miał wzrok utkwiony w ławkę kar. Tak, przyjechał. „Jeśli konferencja skończy się na czas, będę się starał przyjechać na mecz z Cornell”. Pomiędzy krzykaczami harwardzkimi — nie krzycząc, rzecz jasna — siedział Oliwer Barrett III.

Po przeciwnej stronie lodowej przepaści Drętws przyglądał się w obojętnym milczeniu, jak tamują plastrami ostatnie krople krwi na twa-

rzy jego jedyne go syna. Jak sądzicie, co myślał? Hmm... — czy jakies konkretne słowa o tym samym znaczeniu?

„Oliwer, jeśli tak bardzo lubisz się bić, dlaczego nie zapiszesz się na boksa?”

„W Exeter nie ma boksu, ojczy”.

„No, cóż, może nie powinienem przyjeżdżać na twoje mecze hokejowe”.

„Czy ojciec sądzi, że ja się biję na benefis ojca?”

„No cóż, nie użyłbym tu chyba słowa »benefis«”.

Ale, rzecz jasna, nikt nie mógł przewidzieć, co on myśli. Oliwer Barrett III to chodząca, czasem gadająca Skala Rushmore *. Drętus.

A może Stary jak zwykle celebrował swoją obecność: popatrzenie tylko na mnie; tak tu dzisiaj mało kibiców, ale wśród nich jestem ja. Ja, Oliwer Barrett III, człowiek ogromnie zajęty, który kieruje bankami i tak dalej, ja poświęciłem swój czas, żeby przyjechać tutaj, na Cornell, żeby patrzeć na głupi mecz hokejowy. Jak to cudownie (dla kogo?).

Tłum zawył znowu, tym razem naprawdę dziko. Następnego gola dla Cornell. Prowadzą. A ja mam jeszcze dwie minuty kary. Davey Johnston pędził po lodowisku, wściekły, czerwony. Minął mnie, nawet nie spojrzawszy w moją stronę. Czyżby miał łzy w oczach? Przecież — ja wiem — chodzi o mistrzostwo, ale, o Jezusie, łzy? Tylko że Davey, nasz kapitan, miał dziki fart: przez siedem lat nigdy drużyna, w której grał, nie przegrała, ani w szkole, ani na uniwersytecie. To już jakby legenda. I on był na ostatnim roku. I to był nasz ostatni ciężki mecz.

Który przegraliśmy w stosunku 6:3.

Po meczu zrobiono mi rentgen, by stwierdzić, że żadna kość nie jest pęknięta, po czym doktor Ryszard Seltzer założył mi dwanaście szwów na policzku. Przez ten czas Felt krążył po ambulatorium opowiadając lekarzowi Cornell, że się niewłaściwie odżywiam i że by tego wszystkiego nie było, gdybym zażywał odpowiednią ilość tabletek soli. Seltzer nie zwracał uwagi na Jacka, ostrzegł mnie tylko ostro, że niemal rozwalilem sobie „dno oczodołu” (jest to określenie medyczne) i że najmądrzej będzie na tydzień dać spokój z hokejem. Podziękowałem mu. Wyszedł wraz z Feltem, który zadreślał go dalszą rozmową o odżywianiu. Rad byłem, że zostałem sam.

Powoli obmyłem się pod prysznicem uważając, by nie zmoczyć

* Skala Rushmore — skala w Stanach Zjednoczonych, w której wyrzeźbione są olbrzymie podobizny stawnych prezydentów amerykańskich.

obolałej twarzy. Nowokaina z wolna przestawała działać, ale ten ból sprawiał mi swego rodzaju przyjemność. No bo właściwie to przesrałem sprawę. Mistrzostwo diabli wzięli, przerwaliśmy swoją szczęśliwą passę (jak dotąd ostatni rok zawsze był niezwyknięty) i passę Daveya Johnstona. Może вина nie jest wyłącznie moja, ale czułem się tak, jakby była.

W szatni pustka. Pewno wszyscy pojechali już do motelu. Pomyślałem, że nikt nie chce mnie widzieć ani ze mną gadać. Miałem w ustach okropny smak goryczy — słowo daję. Zdechłym psem mi się to wszystko odbijało. Zapakowałem manatki i wyszedłem na dwór. Niewielu zjechało kibiców Harvardu do tej lodowatej głuszy — północnej części stanu Nowy Jork.

— Jak tam policzek, Barrett?

— W porządku. Dziękuję, panie Jencks.

— Przydałby ci się chyba befsztyk — rozległ się inny, znany mi głos. Tak przemawiał Oliwer Barrett III. Jakie to dla niego typowe proponować podobnie staroświecki środek na podbite oko.

— Dziękuję, ojcie — powiedziałem. — Doktor już się tym zajął — pokazałem opatrunek z gazy przykrywający dwanaście szwów Seltzera.

— Miałem na myśli twój żołądek, synu.

Podczas kolacji odbyliśmy jeszcze jedną z naszej nie kończącej się serii antyrozmoń, z których każda zaczynała się od „Jak ci idzie?“, a kończyła „Czy mogę ci w czymś pomóc?“

— Jak ci idzie, synu?

— Dobrze, ojcie.

— Boli cię twarz?

— Nie, ojcie.

Zaczynała właśnie boleć jak jasna cholera.

— Chciałbym, żeby Jack Wells obejrzał ją w poniedziałek.

— To zbędne, ojcie.

— Jest specjalistą...

— Lekarz Cornell to nie weterynarz — oznajmiłem w nadziei, że ostudzę snobistyczny entuzjazm ojca dla specjalistów, ekspertów i innych „najwybitniejszych” osobistości.

— Szkoda — odparł Oliwer Barrett III, a ja w pierwszej chwili przyjąłem to za próbę dowcipu. — Bo jesteś sponiewierany jak zwierzę.

— Tak, ojcie. — (Czy powinienem być zachichotać?)

Potem przyszło mi do głowy, że ten dowcip miał się odnosić do mojego zachowania na lodzie.

— Czy ojcu idzie o to, że dzisiaj zachowywałem się na lodzie jak zwierzę?

Jego mina dowodziła, że to pytanie sprawiło mu pewną przyjemność. Odpowiedział jednak tylko:

— To ty wspominałeś coś o weterynarzach. — W tym punkcie postanowiłem zająć się studiowaniem menu.

Kiedy podano nam główne danie, Drętbus rozpoczął następne ze swoich mentorskich kazań — o ile sobie przypominam, a staram się nie przypominać — na temat zwycięstw i klęsk. Zauważył, że straciliśmy przez ten mecz tytuł mistrzowski (jakiś ty bystry, ojczu), ale mimo wszystko w sporcie liczy się naprawdę nie zwycięstwo, lecz sama gra. Jego uwagi niepokojąco przypominały parafrazę motta olimpijskiego, a ja czułem, że po tym nastąpi jeszcze bagatelizowanie takich sportowych błahostek jak mistrzostwo Ivy-League. Nie miałem jednak zamiaru rządzić go regulaminem olimpijskim, więc tylko zaserwowałem odpowiednią ilość zdawkowych „tak ojczu” i milczałem.

Wyczerpaliśmy wszystkie zwykłe możliwości rozmowy, która zawsze oscyluje wokół ulubionego antytematu Drętbusa, a mianowicie moich planów.

— Powiedz mi, czy miałeś jakieś wiadomości ze Szkoły Prawa?

— Nie zdecydowałem się ostatecznie na prawo, ojczu.

— Pytałem tylko, czy Szkoła Prawa zdecydowała się ostatecznie na ciebie.

Czy to znowu miał być dowcip? Czy powinienem uśmiechem pokwitować tę rozkoszną ojcowską retorykę?

— Nie, ojczu, nie miałem żadnych wiadomości.

— Mógłbym zadzwonić do Price'a Zimmermanna...

— Nie — tu refleks był błyskawiczny. — Proszę, niech ojciec nie dzwoni.

— Nie po to, żeby interweniować — wyniośle dokończył O.B. III — tylko żeby się dowiedzieć.

— Ojczu, chciałbym mieć równe szanse z kolegami. Proszę.

— Tak. Oczywiście. W porządku.

— Dziękuję.

— Poza tym w gruncie rzeczy nie ma chyba wątpliwości co do tego, że się dostaniesz — dodał.

Nie wiem dlaczego, ale O.B. III potrafi mi okazywać lekceważenie nawet kiedy wypowiada słowa uznania.

— To jeszcze nie takie pewne — powiedziałem. — Przecież oni nie mają drużyny hokejowej.

Nie mam pojęcia, czemu zgrywałem się na takiego skromnego. Może po to, żebym mu się przeciwstawić.

— Masz również inne zalety — powiedział Oliwer Barrett III, ale uchylił się od ich zdefiniowania. (Nie sądzę, by to leżało w jego możliwościach).

Jedzenie było równie parszywe jak rozmowa, z tą tylko różnicą, że jeszcze przed pojawieniem się bułeczek mogłem przewidzieć, że są czerstwe, a nigdy nie byłem w stanie przewidzieć, jaki temat ojciec będzie łaskaw poruszyć w rozmowie ze mną.

— Poza tym zawsze jeszcze jest Korpus Pokoju * — oświadczył nagle ni z tego ni z owego.

— Słucham? — zapytałem, nie całkiem pewien, czy to stwierdzenie, czy pytanie.

— Mam bardzo wysokie mniemanie o Korpusie Pokoju. Co ty o nim sądzisz?

— No cóż — odpowiedziałem — z pewnością lepsze to niż Korpus Wojenny.

Byliśmy jeden jeden. Nie wiedziałem, o co jemu chodzi, i nawzajem. Czy to miał być temat rozmowy? Czy teraz będziemy dyskutować inne bieżące zagadnienia albo programy rządowe? Nie. Zapomniałem na chwilę, że nasz temat jeden to zawsze moje plany.

— Nie miałbym nic przeciwko temu, żebyś wstąpił do Korpusu Pokoju, Oliwer.

— Ja również — oznajmiłem, dając w ten sposób dowód nie mniejszej szlachetności ducha. Jestem pewien, że Drętwus nigdy nie słucha, co mówię, nic więc dziwnego, że nie zareagował na ten lekki sarkazm.

— A twoi koledzy — ciągnął — jaki oni mają do tego stosunek?

— Słucham?

— Czy Korpus Pokoju ma dla nich jakieś istotne znaczenie?

Wydaje mi się, że mojemu ojcu potrzebny jest ten zwrot jak rybie woda.

— Tak ojcze. — Nawet szarlotka była stęchła.

Około wpół do dwunastej odprowadziłem go do jego wozu.

— Czy mogę ci w czymś pomóc, synu?

— Nie, dziękuję ojcze. Dobranoc.

Odjechał.

* Korpus Pokoju — organizacja stworzona przez Johna F. Kennedy'ego skupiająca ochotników, którzy wyjeżdżają do krajów trzeciego świata jako instruktorzy techniczni, gospodarczy, medyczni itp. Praca ta, nisko płatna, traktowana jest jako praca społeczna.

Owszem, istnieje połączenie samolotowe pomiędzy Ithaką, w stanie Nowy Jork, a Bostonem, ale Oliwer Barret III wolał samochód. Nie należy brać tych kilku godzin, jakie spędził przy kierownicy, za dowód ojcowskich uczuć. Mój ojciec po prostu lubi prowadzić. Szybko. A o tej nocnej porze samochodem aston martin DBS można jechać cholernie szybko. Nie wątpię, że Oliwer Barret III miał zamiar pobić swój rekord trasy Ithaca — Boston, ustanowiony przed rokiem, kiedy to zwyciężyliśmy Cornell i zdobyliśmy mistrzostwo. Wiem, bo zauważyłem, jak rzucił okiem na zegarek.

Wróciłem do motelu i zadzwoniłem do Jenny.

To był jedyny miły moment tego wieczoru. Opowiedziałem jej wszystko o bójce na lodzie (nie podając dokładnie *casus belli*) i widziałem, że ją to ubawiło. Niewielu z tych ryjonów, jej przyjaciół od muzyki, potrafiło przyfasować komuś w szczękę albo oberwać samemu.

— Czy przynajmniej oddałeś temu facetowi, co cię rąbnął? — zapytała.

— Z nawiązką. Starłem go na proch.

— Szkoda, że tego nie widziałam. Może powtórzysz coś takiego podczas meczu z Yale, co?

— Dobrze.

Uśmiechnąłem się. Jak ona lubiła te błałostki.

4

— Jenny jest przy telefonie na dole.

Informację tę otrzymałem od dziewczyny przy centralce telefonicznej, chociaż przychodząc wtedy w poniedziałek wieczór ani się jej nie przedstawiłem, ani nie mówiłem, po co przyszedłem do Briggs Hall. Szybko stwierdziłem, że to oznacza punkty na moją korzyść. Niewątpliwie ta „Radclifka”, która mnie powitała, czytuje „Crimson” i wie, kto ja zacz. No cóż, nie pierwszy to raz. O wiele ważniejszy był fakt, że Jenny musiała wspomnieć, że ze mną chodzi.

— Dziękuję — powiedziałem. — Zaczekam tutaj.

— Fatalnie wypadło z Cornell. W „Crimson” piszą, że skoczyło na ciebie czterech facetów.

— Tak. A mnie wlepili karę. Pięć minut.

— Właśnie.

Różnica między przyjacielem i kibicem polega na tym, że z kibicem szybko kończą się tematy rozmowy.

— Jenny jeszcze gada?

Sprawiła na swojej tablicy i odpowiedziała:

— Jeszcze.

Z kim Jenny może gadać, któż to taki wart jest chwil, zarezerwowanych na spotkanie ze mną? Jakiś kopnięty ryjon od muzyki? Nie było dla mnie tajemnicą, że Martin Davidson, student ostatniego roku z bursy Adams House, dyrygent orkiestry Towarzystwa Bachowskiego, sądzi, że ma prawo do Jenny. Nie do jej ciała, na mój gust ten facet potrafi machać tylko pałeczką dyrygencką. Tak czy inaczej, dość tego uzurpowania mojego czasu.

— Gdzie jest kabina telefoniczna?

— Tam, za zakrętem — pokazała mi dokładnie kierunek.

Pomaszerowałem w kierunku hallu. Z daleka widziałem już Jenny przy telefonie. Zostawiła drzwi kabiny otwarte. Szedłem powoli, niedbale, w nadziei, że mnie dostrzeże, z tymi bandażami, ranami, że się wzruszy, rzuci słuchawkę i padnie mi w ramiona. Kiedy się zbliżyłem, dobiegły mnie urywki rozmowy:

— Tak. Oczywiście! Jasne. Och, ja też, Fil. Kocham cię, Fil.

Stałem. Z kim ona rozmawia? To nie Davidson — żadne z jego imion nie mogło tak brzmieć w zdrobnieniu. Już dawno go sprawdziłem w naszym spisie seminariów: Martin Eugene Davidson, Riverside Drive 70, Nowy Jork, Liceum Muzyki i Sztuki. Fotografia świadczyła o inteligencji, wrażliwości i wadze o jakieś pięćdziesiąt funtów mniejszej niż moja. Ale czemu zawracam sobie głowę jakimś Davidsonem? Obu nas wystawiła do wiatru Jennifer Cavilleri dla kogoś, komu w tej właśnie chwili (jakie to wulgarnie) posyła całusy przez telefon. Ledwo wyjechałem na czterdzieści osiem godzin, a już jakiś sukinsyn, jakiś tam Fil, zdążył się wśliznąć do łóżka Jenny (bo to na pewno jest tak!).

— Tak, Fil, ja też cię kocham! Do widzenia!

Kiedy odwieszała słuchawkę, zobaczyła mnie i bez najmniejszego rumieńca wstydu uśmiechnęła się i posłała mi całusa. Jak może być taka dwulicowa?

Pocałowała mnie delikatnie w zdrowy policzek.

— Witaj. Wyglądasz strasznie.

— Jestem ranny, Jen.

— Czy tamten facet wygląda gorzej?

— Tak. O wiele. Taką już mam zasadę, że ten drugi facet zawsze wygląda o wiele gorzej.

Powiedziałem to tak złowroźnie, jak tylko potrafiłem, jakbym delikatnie sugerował, że obiję mordę każdemu, kto się ośmieli przespać z Jenny, gdy tylko zejde jej z oczu, a jak widać, tym samym i z jej serca. Złapała mnie za rękaw i ruszyliśmy ku drzwiom wyjściowym.

— Dobranoc, Jenny — zawołała za nią dziewczyna przy telefonach.

— Dobranoc, Sara Jane — odpowiedziała Jenny.

Kiedy już byliśmy na dworze i mieliśmy wsiadać do mojego MG, dotleńnięm się wciągając haust wieczornego powietrza i rzuciłem naj-
objętniej, jak tylko umiałem:

— Słuchaj, Jen...

— No?

— Kto to jest Fil?

Odpowiedziała rzeczowym tonem wsiadając do samochodu:

— Mój ojciec.

Ani mi było w głowie uwierzyć w coś takiego.

— Mówisz do swojego ojca Fil?

— Tak mu na imię. A jak ty mówisz do swojego?

Jenny powiedziała mi kiedyś, że wychowywał ją ojciec — jakiś piekarz czy coś — w Cranston w stanie Rhode Island. Kiedy była bardzo mała, matka jej zginęła w wypadku samochodowym. Jenny powiedziała mi o tym, tłumacząc, dlaczego nie ma prawa jazdy. Jej ojciec, pod każdym względem „z kośćmi dobry człowiek” (jej własne słowa), był strasznie przesądny, jeśli chodzi o pozwolenie jedynej córce na prowadzenie samochodu. Ogromnie jej to zawadzało w ciągu ostatnich szkolnych lat, kiedy brała lekcje fortepianu u jakiegoś faceta w Providence. Ale za to podczas długich jazd autobusem przeczytała całego Prousta.

— Jak ty mówisz do swojego? — powtórzyła.

Byłem tak daleko myślami, że nie usłyszałem pytania.

— Swojego kogo?

— Jakiego określenia używasz zwracając się do swego rodziciela?

Powiedziałem tak, jak zawsze chciałem do niego mówić.

— Skurwiel.

— W oczy? — spytała.

— Nigdy nie oglądam jego oczu.

— Nosi maskę?

— W pewnym sensie, kamienną. Nic tylko kamień.

— Opowiadaj. Musi być piekielnie dumny. Ty jesteś taki wielki harwardzki wyczynowiec.

Spojrzałem na nią. Więc jednak ona nie wszystko wie.

— On też był, Jenny.

— Czymś więcej niż skrzydłowym mistrzowskiej drużyny Ivy-League?

Miła mi była jej satysfakcja z moich sportowych osiągnięć. Fatalne, że muszę jej powiedzieć o jego sukcesach, całkiem mnie zaćmią.

— W Olimpiadzie w 1928 wioślował na jedynce.

— O Boże — powiedziała. — I wygrał?

— Nie — odpartem, a ona chyba wyczuła, jaka to dla mnie ulga, że mogę jej powiedzieć, że był szósty w finałach.

Nastąpiła chwila ciszy. Może teraz Jenny zrozumie, że być Oliwerem Barrettem IV to nie znaczy tylko, że trzeba żyć ze świadomością istnienia tego szarego kamiennego budynku na Harvard Yard. Jest w tym również jakieś fizyczne zagrożenie. To znaczy, że obraz czyichś sportowych osiągnięć rzuca na człowieka cień. To znaczy — na mnie.

— Ale co on takiego robi, żeby zasłużyć na „skurwiela”? — zapytała Jenny.

— Każe mi — odpartem.

— Przepraszam?

— Każe mi — powtórzyłem.

Oczy zrobiły jej się wielkie jak spodki.

— Masz na myśli kazirodztwo?

— Daj mi spokój ze swoimi problemami rodzinnymi, Jenny. Mam dosyć własnych.

— Co on ci każe, Oliwer? — pytała. — Jak to jest, co on ci każe robić?

— Właściwe rzeczy — odpartem.

— A co jest niewłaściwego w robieniu „właściwych rzeczy”? — pytała rozkoszując się tym oczywistym paradoksem.

Powiedziałam jej, jak mnie wścieka, kiedy mnie usiłują programować wedle „tradycji Barrettów” — powinna była zdać sobie z tego sprawę, widząc, jak się złościę podając swoją liczbę porządkową po nazwisku. I denerwuje mnie, że na koniec każdego semestru muszę się wykazać określoną liczbą sukcesów.

— O, tak — powiedziała Jenny z przekąsem. — Przecież to jasne jak słońce, że nie znosisz sukcesów, przy całym twoim Ivy-League...

— Nie mogę znieść tego, że on oczekuje ode mnie tylko sukcesów! — Sam fakt, że wypowiadam coś, co zawsze czułem (ale o czym nigdy dotąd nie mówiłem), krępował mnie cholernie, ale musiałem przecież wytłumaczyć Jenny to wszystko. — On jest taki strasznie drętwy, jeśli idzie o te moje sukcesy. Rozumiesz, on je bierze za absolutny pewnik.

— Ale to bardzo zapracowany człowiek. Przecież on kieruje tyloma bankami i w ogóle.

— Jezus, po czyjej ty jesteś stronie, Jenny?

— Czy to wojna? — spytała.

— No chyba!

— To śmieszne, Oliwer.

Wydawała się całkiem nie przekonana. I wtedy właśnie po raz pierwszy odczułem, że dzielą nas różnice kulturowe. Chodzi mi o to, że trzy i pół roku Harvardu i Radcliffe zrobiło z nas pewnych siebie inteligentów, jakich te instytucje od lat produkują, ale kiedy przyszło zaakceptować fakt, że mój ojciec jest stworzony z głazu, ona czepiała się jakichś atawistycznych włosko-śródziemnomorskich pojęć, w rodzaju „papcio kocha bambino” — i nie było o czym gadać.

Próbowałem to odpowiednio zilustrować. Ta śmieszna antyrozmo-
wa po meczu z Cornell. To wyraźnie zrobiło na niej wrażenie. Tylko że zupełnie niewłaściwie.

— Przyjechał taki kawał drogi, aż do Ithaca, żeby obejrzeć zakicha-
ny mecz hokejowy?

Próbowałem wytłumaczyć, że mój ojciec to sama forma i nic treści. Ale ona była w dalszym ciągu opętana myślą, że zrobił taki kawał drogi dla błahego (względnie) wydarzenia sportowego.

— Słuchaj, Jenny, może byśmy zapomnieli o tej rozmowie?

— Dzięki Bogu, że masz takiego sęka na temat własnego ojca —
powiedziała. — To znaczy, że nie jesteś doskonałą.

— Och... a ty jesteś?

— Do diabła, pewno że nie, Snobku. Gdybym była, to czy chodziła-
bym z tobą?

Jak zawsze, w kółko to samo.

5

Chciałbym tu coś powiedzieć o naszym stosunku fizycznym.

Przez dziwnie długi okres w ogóle nic nie było. To znaczy nie było nic poza tymi pocałunkami, o których już mówiłem (pamiętam je wszystkie do dziś z najdrobniejszymi szczegółami). Nie było to typowe dla mnie, jestem bowiem impulsywny, niecierpliwy i skory do czynu. Gdybyście powiedzieli jednej z dziewczyn z bursy Tower Court w college'u Wellesley, że Oliwer Barrett IV od trzech tygodni dzień w dzień umawia się z tą samą dziewczyną i jeszcze z nią nie spał, uśmieła-
by się z pewnością i zakwestionowała kobiecość owej dziewczyny. Ale idzie o to, że tutaj sprawa wyglądała całkiem inaczej.

Nie wiedziałem, co robić.

Nie zrozumcie mnie źle ani nie bierzcie tego zbyt dosłownie. Znałem

wszystkie chwyt. Po prostu nie byłem zdecydowany, czy chcę je zastosować. Jenny była taka mądra; bałem się, że wykpi to, co ja uważałem zawsze za gładki, romantyczny (i nieodparty) styl Oliwera Barretta IV. Obawiałem się odmowy, tak. Obawiałem się również zgody nie z takich przyczyn, o jakie mi chodziło. Nie mogę tego wykrztusić, ale po prostu w stosunku do Jennifer czułem coś innego i nie wiedziałem, co mówić ani nawet kogo o to zapytać. (Powinieneś być zapytać mnie — powiedziała mi później). Wiedziałem tylko, że tak właśnie czuję. W stosunku do niej. Do niej w całości.

— Oblejesz ten egzamin, Oliwer.

Siedzieliśmy w niedzielne popołudnie w moim pokoju, czytając.

— Oliwer, oblejesz ten egzamin, jeśli będziesz tylko tak siedział i patrzył, jak ja się uczę.

— Nie patrzę, jak ty się uczysz. Uczę się.

— Pieprzysz. Patrzysz na moje nogi.

— Od czasu do czasu. Po każdym rozdziale.

— Ta książka ma okropnie krótkie rozdziały.

— Słuchaj, ty zarozumiiała trąbo, nie jesteś aż tak urodziwa!

— Wiem. Ale co poradzę, że taka ci się wydaję?

Odrzuciłem książkę i podszedłem do niej.

— Jenny, na rany Boga, jak ja mogę czytać Johna Stuarta Milla, kiedy przez cały czas marzę, żeby iść z tobą do łóżka.

Zmarszczyła brwi.

— Och, Oliwer, proszę.

Przykucnąłem przy jej krześle. Wsadziła nos w książkę.

— Jenny...

Delikatnie zamknęła książkę, odłożyła ją, potem przytknęła dłońie do mojej szyi.

— Oliwer, proszę...

Wszystko to stało się naraz. Wszystko.

Nasz pierwszy kontakt fizyczny był krańcowym przeciwieństwem naszego pierwszego kontaktu słownego. Wszystko teraz toczyło się tak nieśpiesznie, delikatnie, łagodnie. Nie zdawałem sobie sprawy, że to jest prawdziwa Jenny — delikatna Jenny, której dotyk był tak lekki i czuły. A jednak najbardziej zdumiewała mnie moja własna reakcja. Sam byłem delikatny. Sam byłem czuły. Czy to naprawdę Oliwer Barrett IV?

Jak mówiłem, nigdy nie oglądałem Jenny w większym neglizżu niż z rozpiętym guzikiem sweterka pod szyją. Zdumiało mnie więc, kiedy stwierdziłem, że nosi malutki złoty krzyżyk. Na takim łańcuszku, co to

się nigdy nie odpina. Bo w łóżku też miała ten krzyżyk na sobie. W jakimś momencie odpoczynku tego cudownego popołudnia, w czasie jednej z chwil, kiedy wszystko jest ważne i nic nie jest ważne, dotknąłem tego krzyżyka i zapytałem, co by powiedział jej spowiednik na to, iż jesteśmy tu... razem... w tym łóżku i w ogóle. Odpowiedziała, że nie ma spowiednika.

— Czy nie jesteś porządną wierzącą dziewczyną? — zapytałem.

— No cóż — odparła — jestem dziewczyną i jestem porządna.

Spojrzała na mnie w oczekiwaniu potwierdzenia; uśmiechnąłem się. Odpowiedziała uśmiechem.

— Zgadzą się przynajmniej dwie z tych rzeczy.

— Więc to już dwa na trzy.

Zapytałem wtedy, czemu nosi ten krzyżyk, i to na stałe. Odpowiedziała, że to krzyżyk jej matki, nosi go ze względów uczuciowych, a nie religijnych. Rozmowa wróciła na temat nas samych.

— Słuchaj, Oliwer, czy ci powiedziałam, że cię kocham?

— Nie, Jen.

— A czemu nie spytałeś?

— Prawdę powiedziawszy, bałem się.

— Spytaj teraz.

— Kochasz mnie, Jenny?

Popatrzyła na mnie, a w jej odpowiedzi nie było nic wymijającego

— A jak cię się zdaje?

— Tak. Chyba tak.

Pocałowałem ją w szyję.

— Oliwer?

— Tak?

— Ja nie kocham cię tylko ot tak sobie...

O, Boże, co teraz będzie?

— Ja cię bardzo kocham, Oliwer.

6

Uwielbiam Raya Strattona.

Może on nie jest geniusz ani żaden wielki futbolista (trochę za wolny przy podaniu), ale zawsze był z niego dobry współlokator i lojalny przyjaciel. Jakże ten biedak cierpiał przez większą część naszego ostatniego roku! Gdzie on chodził się uczyć, kiedy widział na gałce drzwi naszego pokoju zawiązany krawat (tradycyjny sygnał, że wewnątrz „akcja”). Co prawda, nie tak wiele on się uczył, ale przecież czasami

musiał. No, powiedzmy chodził do Lamont czy biblioteki bursy albo może nawet do klubu Pi Eta *. Ale gdzie on sypiał w te sobotnie noce, kiedy my z Jenny gwałcąc regulamin bursy zostawialiśmy razem? Ray musiał kombinować nocleg u sąsiadów — na jakichś kanapkach czy czymś takim, pod warunkiem, że oni z kolei nie mieli żadnych planów. Cóż, jedyna pociecha, że było już po sezonie futbolowym. A zresztą ja zrobiłbym dla niego to samo.

Ale gdzie nagroda Raya? Dawniej dzieliłem się z nim wszystkimi szczegółami moich sukcesów miłosnych. Teraz nie tylko zostały mu odmówione jego niezaprzeczalne prawa współlokatora, ale nawet nie powiedziałem mu nigdy wprost, że byliśmy z Jenny kochankami. Dawałem mu tylko do zrozumienia, kiedy będzie nam potrzebny pokój, i tyle. Stratton mógł z tego wyciągnąć wnioski, jakie tylko chciał.

— Na litość boską, Oliwer, dała ci czy nie?

— Raymond, proszę cię jak przyjaciela, nie pytaj.

— Ale, na litość boską, Oliwer, popołudnia, piątki wieczór, soboty wieczór! Na litość boską, przecież musiała ci dać?

— Więc po co mnie pytasz, Ray?

— Bo to jest niezdrowe.

— Co?

— Cała ta sytuacja. Słuchaj, przecież jeszcze tak nigdy nie było! Słuchaj, to odcięcie wszelkich informacji, zamrożenie szczegółów! Chodzi mi ...to jest niedopuszczalne. Niezdrowe! Na litość boską, co ona robi, że to takie inne?

— Słuchaj, Ray, w dojrzałej sprawie miłosnej...

— Miłosnej?!

— Nie mów tak, jakby to było nieprzyzwoite słowo.

— W twoim wieku? Miłość? Chryste! Strasznie się boję, stary!

— O co? O to, czy nie zwariowałem?

— O twój kawalerski stan. Twoją wolność. Twoje życie!

Biedny Ray! Mówił całkiem poważnie.

— Boisz się, że stracisz współlokatora, co?

— Kurczę, na razie zyskałem dodatkowego, przecież ona tu ciągle tkwi.

Przebieierałem się na koncert, więc rozmowa musiała się wkrótce skończyć.

— Nie bój się, Ray. Będziemy jeszcze mieli wspólne mieszkanie w Nowym Jorku. Co noc inne babki. Zobaczysz, na pewno.

— Pieprzysz, złapała cię i tyle!

* Jeden z klubów bractwa studenckiego.

- Panuję nad sytuacją — odpartem. — Głowa do góry. — Poprawiłem krawat idąc ku drzwiom. Ray jednak nie był przekonany.
- Słuchaj, Ollie!
- No?
- Ale dała ci?
- O rany, Ray!

Nie szedłem na ten koncert z Jenny; szedłem na jej koncert. Towarzystwo Bachowskie dawało Piąty Koncert Brandenburski w Dunster House, a Jenny grała solo na klawesynie. Oczywiście wiele razy słyszałem, jak Jenny gra, ale nigdy w zespole i nigdy publicznie. Boże, jakież byłem dumny! Nie sfatszowała ani razu, przynajmniej ja nie zauważyłem.

— Nie wyobrażasz sobie, jaka byłaś wspaniała — powiedziałem jej po koncercie.

— To dowodzi, jak ty się znasz na muzyce.

— Wystarczająco.

Znajdowaliśmy się na dziedzińcu Dunster House. Było to jedno z tych kwietniowych popołudni, kiedy człowiek zaczyna wierzyć, że wiosna przyjdzie wreszcie i do Cambridge. Jej kumple od muzyki szli niedaleko (między nimi Martin Davidson, rzucając w moim kierunku niewidzialne bomby), toteż nie mogłem przeprowadzać fachowego dowodu czystości jej uderzeń.

Przeszliśmy Aleję Pamięci i ruszyliśmy na spacer nad rzekę.

— Posłuchaj no, panie Barrett. Grałam dobrze. Nie wspaniale. Nawet nie jak All-Ivy. Po prostu dobrze. Dobrze?

Jakże mogłem się z nią kłócić, kiedy uparła się przy tak skromnej ocenie.

— Dobrze. Grałaś dobrze. Tylko tak dalej.

— Kto powiedział, że nie? Jadę przecież studiować u Nadii Boulanger.

O czym ona u diabła mówi? Urwała nagle, z czego wywnioskowałem, że coś jej się niechcący wyrwało.

— U kogo? — spytałem.

— U Nadii Boulanger. To słynna profesor muzyki. W Paryżu. — Ostatnie słowa wypowiedziała bardzo szybko.

— W Paryżu? — zapytałem bardzo wolno.

— Przyjmuje bardzo niewielu uczniów z Ameryki. Miałam szczęście. Dostałam też nie najgorsze stypendium.

— Jennifer, ty wyjeżdżasz do Paryża?

— Nigdy nie byłam w Europie. Nie mogę się doczekać.

Złapałam ją za ramiona. Może za brutalnie, nie mam pojęcia.

— Słuchaj, od jak dawna to wiesz?

Po raz pierwszy w życiu Jenny nie mogła mi spojrzeć prosto w oczy.

— Ollie, nie bądź idiota. To nieuniknione.

— Co jest nieuniknione?

— Kończymy college i rozchodzimy się każde w swoją stronę. Ty pójdziesz do Szkoły Prawa.

— Zaczekaj chwilę, o czym ty mówisz?

Teraz spojrzała mi w oczy. Była smutna.

— Ollie, ty jesteś milioner z wyższych sfer, a moja pozycja jest zerowa.

W dalszym ciągu trzymałam ją za ramiona.

— A co to do cholery ma wspólnego z rozchodzeniem się w różne strony. Jesteśmy ze sobą i jesteśmy szczęśliwi.

— Ollie, nie bądź idiota — powtórzyła. — Harvard to jak worek świętego Mikołaja. Możesz tam wrzucić najrozmaitsze rzeczy. Ale w święta wytrząsają cię... — zawahała się — ...i wracasz na swoje miejsce.

— Chcesz powiedzieć, że ty wrócisz piec jakieś gnioty w Cranston w stanie Rhode Island?

— Wyroby cukiernicze — powiedziała. — I nie wyśmiewaj się z mojego ojca.

— Więc nie zostawiaj mnie, Jenny. Proszę cię.

— A co z moim stypendium? Co z Paryżem, którego nigdy w moim zakichanym życiu nie oglądałam?

— A co z naszym małżeństwem?

To ja wymówiłem te słowa, choć przez ułamek sekundy nie byłem tego pewien.

— A kto mówił o małżeństwie?

— Ja. Mówię teraz.

— Chcesz się ze mną ożenić?

— Tak.

Odchyliła głowę, nie uśmiechała się, zapytała tylko:

— Dlaczego?

Spojrzałam jej prosto w oczy.

— Dlatego — odparłam.

— Och — powiedziała. — To jest wystarczający powód.

Wzięła mnie za rękę (tym razem nie za rękaw) i ruszyliśmy wzdłuż rzeki. Tak naprawdę to nie było nic więcej do powiedzenia.

Ipswich w stanie Massachusetts jest odległe o jakieś czterdzieści minut od mostu na Mystic River, oczywiście zależnie od pogody i sposobu prowadzenia. Kiedyś zrobiłem tę odległość w dwadzieścia dziewięć minut. Pewien znany bankier bostoński zgłasza lepszy czas, ale kiedy się mówi o przejechaniu w mniej niż pół godziny trasy od mostu do Barrettów, trudno jest odróżnić rzeczywistość od wyobraźni. Tak się składa, że ja uważam dwadzieścia dziewięć minut za absolutną ostateczność. No a przecież człowiek nie może nie brać pod uwagę świateł sygnalizacyjnych na Autostradzie Nr 1.

— Jedziesz jak wariat — powiedziała Jenny.

— To jest Boston — odpowiedziałem. — Każdy tu jeździ jak wariat. — Zatrzymały nas akurat czerwone światła na Jedyńce.

— Zabijesz nas, nim twoi rodzice zdążą nas zamordować.

— Słuchaj, Jen, moi rodzice to przemili ludzie.

Światło się zmieniło. W dziesięć sekund moje MG miało sześćdziesiąt mil na liczniku.

— Nawet i Skurwiel? — zapytała.

— Kto?

— Oliwer Barrett III.

— Och, to miły facet. Polubisz go, zobaczysz.

— Skąd wiesz?

— Bo wszyscy go lubią.

— To dlaczego ty go nie lubisz?

— Bo wszyscy go lubią.

Po co ja ją brałem na to spotkanie? Chodzi mi o to, czy ja naprawdę potrzebowałem błogosławieństwa Drętwsusa albo w ogóle czegoś w tym rodzaju? Jechaliśmy tam częściowo dlatego, że Jenny tego chciała (tak się te sprawy załatwia, Oliwer), a częściowo z tej prostej przyczyny, że Oliwer Barrett III był moim bankierem w najpełniejszym tego słowa znaczeniu: płacił, kurczę, moje czesne.

To musiała być, oczywiście, niedzielna kolacja! *Comme il faut*, prawda? W niedzielę, kiedy każdy, kto nie ma pojęcia o jeździe, korkuje Jedyńkę i tarasuje drogę. Odbiłem od tego konduktu skręcając w Groton Street, drogę, której zakręty brałem z dużą szybkością od trzynastego roku życia.

— Tutaj nie ma domów — powiedziała Jenny — są tylko drzewa.

— Domy są za drzewami.

Kiedy się jedzie Groton Street, trzeba bardzo uważać, żeby nie przeoczyć wjazdu do naszej posiadłości. Tego popołudnia minąłem

nasz wjazd. Przejechałem trzysta jardów i zatrzymałem wóz z piskiem opon.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała.

— Przejechaliśmy — mruknąłem wśród przekleństw.

Czy jest coś symbolicznego w fakcie, że musiałem się cofać trzysta jardów do naszej bramy? Tak czy inaczej, kiedy już znaleźliśmy się na terenie Barrettów, jechałem bardzo wolno. Jest co najmniej pół mili od Groton Street do właściwego Dover House. Po drodze mija się inne... tego... budynki. Wydaje mi się, że za pierwszym razem to może zrobić na człowieku pewne wrażenie.

— O, kurczę! — powiedziała Jenny.

— Co jest, Jen?

— Stań, Oliwer. Nie żartuję. Zatrzymaj wóz.

Stałem. Siedziała przerażona.

— Słuchaj, nie myślałam, że to aż tak.

— Jak to tak?

— Aż tak bogato. Założę się, że trzymacie tu służbę na stałe.

Chciałem wyciągnąć rękę i dotknąć jej, ale dłonie miałem wilgotne (rzecz u mnie niezwykła), więc dodałem jej otuchy słowami.

— Słuchaj, Jenny. Przecież to wszystko bzdura.

— Tak, ale mimo to wołałabym się nazywać Abigail Adams albo Wendy W A S P*.

Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu, zaparkowałem i poszliśmy pod drzwi wejściowe. Kiedy czekaliśmy na otwarcie drzwi, Jenny w ostatniej chwili uległa jeszcze raz panice.

— Uciekajmy — szepnęła.

— Zostańmy, żeby walczyć — odparłem.

Czyżbyśmy obydwójce żartowali?

Drzwi otwarła nam Florencja, stara i oddana sługa rodziny Barrettów.

— Panicz Oliwer! — przywitana mnie.

Boże, jak ja nienawidzę, kiedy się do mnie w ten sposób zwracają. Szlag mnie trafia na sam dźwięk tego rozróżnienia pomiędzy mną a ojcem, oczywiście na moją niekorzyść.

Florencja oznajmiła, że rodzice czekają w bibliotece. Niektóre z oglądanych po drodze portretów zrobiły wielkie wrażenie na Jenny. Nawet nie dlatego, że kilka z nich było pędzla Johna Singera Sargenta (przede wszystkim portret Oliwera Barretta II, wystawiany czasem w Muzeum

* W A S P — White Anglo-Saxon Protestant — Biały Protestant Pochodzenia Anglosaskiego — w amerykańskiej snobistycznej hierarchii towarzyskiej postać stojąca na najwyższym szczeblu.

Bostońskim), ale — co było nowością — że nie wszyscy moi przodkowie nosili nazwisko Barrett. Znalazły się w rodzinie Barrettów również wspaniałe kobiety, które umiały dobrze się skojarzyć i wydały na świat takie istoty jak Barrett Winthrop, Richard Barrett Sewall, a nawet Abbott Lawrence Lyman, co to miał odwagę przejść przez życie (i przez Harvard, jego nieodłączną część składową) i zostać wybitnym, nagradzanym chemikiem, nie mając nawet na któreś tam imię Barrett.

— O rany — westchnęła Jenny — tutaj wisi połowa gmachów harwardzkich.

— To wszystko bzdura.

— Nie wiedziałam, że jesteś również spokrewniony z Przystanią Wioślarską Sewalla.

— Tak, moja linia genealogiczna wiedzie przez drewno i kamień.

Na końcu szeregu portretów, tuż przed drzwiami biblioteki, stoi szklana gablotka. W tej gablotce znajdują się trofea. Sportowe.

— Cudowne! — zawołała Jenny. — Wyglądają na prawdziwe srebro i złoto.

— Bo to jest srebro i złoto.

— O Chryste! Twoje?

— Nie. Jego.

Jest rzeczą wiadomą i dowiedzioną, że Oliwer Barrett III nie zajął punktowanego miejsca na Olimpiadzie w Amsterdamie. Jest jednak równie prawdziwe, że odnosił poważne sukcesy w wioślarstwie podczas różnych zawodów. Wiele razy. Idealnie wypolerowane tego dowody stały teraz przed olśnionymi oczyma Jenny.

— Nie dają takich nagród na kręgielni w Cranston.

Potem chyba chciała i mnie powiedzieć coś miłego:

— A ty masz nagrody, Oliwer?

— Tak.

— W gablotce?

— W moim pokoju. Pod łóżkiem.

Rzuciła mi spojrzenie grzecznej dziewczynki i szepnęła:

— Obejrzymy je później, co?

Nim zdążyłem odpowiedzieć czy choćby stwierdzić, jakie są prawdziwe motywy, dla których Jenny proponowała wyskok do mojej sypialni, przerwano nam.

— Witajcie.

Drętus. To był Drętus.

— O, dzień dobry, ojczu. To jest Jennifer...

— Witajcie.

Ścisnął jej rękę, nim zdążyłem zakończyć prezentację. Zauważyłem,

że nie wbił się dzisiaj w swoje bankierskie szaty. Nic podobnego: Oliwer Barrett III miał na sobie szalową kurtkę z kaszmiru. Zaś na jego zazwyczaj kamiennej twarzy widniał zdradziecki uśmiech.

— Proszę wejść. Przedstawię panią mojej żonie.

Oczekiwał teraz Jenny jeszcze jeden, jedyny w swoim rodzaju, dreszczyk: poznanie Alison Forbes „Topsy” * Barrett. W chwilach przekory zastanawiałem się, jak by też mogło na nią wpłynąć to szkolne przewisko, gdyby nie wyrosła na poważną damę, członka rady nadzorczej i dobroczyńcę muzeum. Dowody mówią, że „Topsy” Forbes nie ukończyła uniwersytetu. Opuściła Smith ** jako studentka drugiego roku, by z błogostawieństwem rodziców poślubić Oliwera Barretta III.

— Moja żona, Alison, to jest Jennifer...

Już sobie zdążył uzurpować prawo przedstawiania Jenny.

— Calliveri — powiedziałem, gdyż Drętbus nie znał jej nazwiska.

— Cavilleri — poprawiła grzecznie Jenny, ponieważ ja przekreśliłem jej nazwisko po raz pierwszy i ostatni w całym moim kretyńskim życiu.

— Tak jak w *Cavalleria Rusticana*? — zapytała matka, zapewne po to, by dowieść, że mimo nie skończonego uniwersytetu jest jednak osobą wcale wykształconą.

— Tak — uśmiechnęła się Jenny. — Ale nie jesteśmy spokrewnione.

— Ach — powiedziała moja matka.

— Ach — powiedział mój ojciec.

Na co, zastanawiając się cały czas, czy złapali dowcip Jenny, potrafiłem tylko dodać:

— Ach...

Matka i Jenny uściśniły sobie dłonie i po normalnej wymianie banałów, ponad które nigdy jeszcze nie wzniesiono się w moim domu, usiedliśmy. Wszyscy milczeli. Starłem się wyniuchać, co się dzieje. Na pewno matka taksowała Jennifer, oceniała ubranie (tym razem żadnych cudactw), jej sposób noszenia się, zachowania, akcent. Trzeba uczciwie powiedzieć, że pobrzmiwało w nim echo Cranston nawet w momentach wielkiej uprzejmości. Być może, Jenny taksowała matkę. Dziewczyny to robią, podobno. Ponoć potrafią w ten sposób dużo się dowiedzieć o chłopaku, za którego mają wyjść za mąż. Może również szacowała Oliwera Barretta III? Czy zauważyła, że jest wyższy ode mnie? Czy podobała jej się ta jego kaszmirowa kurtka?

Oliwer Barret III jak zwykle cały ogień skierował na mnie.

— Jak ci idzie, synu?

* Topsy (ang.) — podchmielona.

** Smith College — jeden z najlepszych żeńskich uniwersytetów.

Jak na stypendystę Rhodesa * to z niego *causeur* do chrzanu.

— Doskonale, ojczy, doskonale.

— Dobrze się wam jechało? — matka jednocześnie zaczęła rozmowę z Jennifer.

— Tak — odparła Jennifer. — Dobrze i szybko.

— Oliwer szybko jeździ — wtrącił Drętws.

— Nie szybciej niż ty, ojczy — odparłem.

Co on na to powie?

— Hm. Tak, sądzę, że nie szybciej.

(Ociptałbyś, ojczy, gdybyś jeździł wolniej niż ja).

Matka, która była zawsze po jego stronie, bez względu na sytuację, zmieniła temat na jakiś bardziej ogólny — muzykę czy malarstwo. Nie bardzo wiem, nie słuchałem zbyt uważnie. Potem poczułem, że ktoś mi wsuwa filiżankę do ręki.

— Dziękuję — powiedziałem i dodałem. — Będziemy musieli niedługo ruszać.

— Co? — spytała Jenny. Zdają się, że dyskutowały o Puccinim czy coś w tym rodzaju, i moja uwaga okazała się dość gwałtowną zmianą kursu. Matka popatrzyła na mnie (rzadki wypadek).

— Ale przecież przyjechaliście na kolację.

— No... nie możemy — powiedziałem.

— Oczywiście — odpowiedziała Jenny niemal jednocześnie.

— Muszę jechać — zwróciłem się poważnie do Jen.

Wyraz twarzy Jenny mówił: „Co ty wygadujesz?” Drętws oznajmił:

— Zostaniecie na kolacji. To rozkaz.

Fałszywy uśmiech na jego twarzy wcale nie umniejszał apodyktyczności tego rozkazu. A ja nie przyjmuję takiego kitu nawet od finalisty olimpijskiego.

— Nie możemy, ojczy — powiedziałem.

— Ależ musimy, Oliwer — stwierdziła Jenny.

— Dlaczego? — zapytałem.

— Ponieważ jestem głodna — odparła.

Siedzieliśmy przy stole posłuszni życzeniom Oliwera III. Pochylił głowę. Matka i Jenny poszły za jego przykładem. Ja przekrzywiłem lekko głowę.

— Pobłogosław Panie te dary na pożytek nasz, a nas na pożytek

* Stypendium Cecyla Rhodesa przyznawane najwybitniejszym studentom amerykańskim.

Twój i spraw, byśmy zawsze pamiętali o potrzebie innych. Prosimy Cię o to w imię Syna Twojego Jezusa Chrystusa. Amen.

Rany, co za koszmar! Nie może choć raz dać pokój tej pobożności? Co sobie Jenny pomyśli? Rany, przecież to powrót do epoki kamiennej.

— Amen — powtórzyła matka (i Jenny też, bardzo cicho).

— A teraz — powiedziałem w charakterze dowcipu — piłka w grę.

Nikt nie wydawał się ubawiony. A już najmniej Jenny. Odwróciła ode mnie wzrok. Oliwer III rzucił mi spojrzenie.

— Bardzo bym pragnął, żebyś od czasu do czasu grał w piłkę, Oliwer.

Kolacja nie odbywała się w kompletnym milczeniu dzięki niezwykłym zdolnościom mojej matki do mówienia o niczym.

— Więc twoja rodzina pochodzi z Cranston, Jenny?

— Nie cała. Moja matka pochodziła z Fall River.

— Barrettowie mają fabryki w Fall River — zauważył Oliwer III.

— Gdzie wyzyskiwali biednych przez wiele pokoleń — dodał Oliwer IV.

— W dziewiętnastym wieku — zakończył Oliwer III.

Matka uśmiechnęła się, że jej Oliwer wygrał ten set. Ale nic z tego.

— A co z planami zautomatyzowania fabryki? — zaserwowałem.

Nastąpiła krótka pauza. Oczekiwałem druzgocącej odpowiedzi.

— A co z kawą? — powiedziała Alison Forbes „Tipsy” Barrett.

Przenieśliśmy się do biblioteki na coś, co miało być niewątpliwie ostatnią rundą. Następnego dnia czekały Jenny i mnie ćwiczenia. Dręt-wus miał bank i co tam jeszcze, a i Tipsy miała coś odpowiedniego w planach na jutrzejszy rzeński ranek.

— Cukier, Oliwer? — zapytała matka.

— Oliwer zawsze słodzi, kochanie — powiedział ojciec.

— Dzisiaj nie, dziękuję. Bez mleka, mamó.

No więc każdy dostał swoją filiżankę i siedzieliśmy tak rozkosznie, nie mając sobie nawzajem nic do powiedzenia. Podsunąłem więc temat.

— Powiedz mi, Jennifer — zapytałem — co myślisz o Korpusie Pokoju?

Zmarszczyła brwi i odmówiła udziału w zabawie.

— Powiedziałeś im? — zwróciła się matka do ojca.

— Jeszcze nie czas, kochanie — odparł Oliwer III z udaną skromnością, która aż się prosiła, żeby pytać. Więc musiałem zadać pytanie:

— O co chodzi, ojczu?

— Nic ważnego, synu.

— Nie rozumiem, jak możesz tak mówić — matka obróciła się ku mnie, by przekazać wiadomość z fanfarami (mówiłem, że ona była zawsze po jego stronie):

— Ojciec ma zostać dyrektorem Korpusu Pokoju.

— Och!

Jenny też powiedziała „och!”, ale jakimś innym, bardziej radosnym tonem.

Ojciec udawał speszonego, a matka jakby czekała, żebym padł na kolana czy coś takiego. No przecież to jeszcze nie jest mimo wszystko sekretarz stanu.

— Gratuluję panu — Jenny wzięła inicjatywę w swoje ręce.

— Tak, gratulacje, ojciec.

Matka paliła się do tego tematu.

— Sądzę, że to będzie niezwykle doświadczenie pedagogiczne — powiedziała.

— Na pewno — przytaknęła Jenny.

— Tak — powiedziałem bez wielkiego przekonania. — Hmm... czy mogę prosić o cukier?

8

— Ależ, Jenny, przecież to jeszcze nie jest sekretarz stanu!

Nareszcie wracaliśmy do Cambridge, Bogu dzięki.

— Ale mimo wszystko mogłeś okazać więcej entuzjazmu, Oliwier.

— Pogratulowałem mu.

— Wielka łaska!

— A czego ty się, na litość boską, spodziewałeś?

— Rzygać mi się chce od tego wszystkiego.

— Mnie też — odparłem.

Przez długi czas jechaliśmy bez słowa. Ale coś było nie tak.

— Od czego ci się chce rzygać, Jenny? — zapytałem po długim zastanowieniu.

— Od tego, jak odnosisz się do swojego ojca. To obrzydliwe.

— A co powiesz na to, jak on odnosi się do mnie?

Tu wyzoliłem potok nie tyle wody co sosu do makaronu. Bowiem Jenny wytoczyła wszystkie argumenty za miłością ojcowską. Cały zestaw włosko-śródziemnomorski. I że ja okazuję brak szacunku.

— Wkurzasz go i wkurzasz.

— On mnie też, Jen. Może nie zauważyłaś?

— Myślę, że nie ma takiej rzeczy, której byś nie zrobił, żeby go zranić.

— Nie można zranić Oliwera Barretta III.

Nastąpiła dziwna chwila ciszy, nim odpowiedziała:

— Chyba żeby się ożenić z Jenny Cavilleri...

Opanowałem się na tyle, by zdążyć zaparkować przed jakąś restauracją rybną. Potem obróciłem się ku Jennifer rozjuszony.

— Czy ty naprawdę tak myślisz?

— Myślę, że między innymi to jest i to — odpowiedziała spokojnie.

— Jenny, nie wierzysz, że ja cię kocham? — wrzasnąłem.

— Owszem — odparła wciąż bardzo spokojnie — ale w jakiś zwariowany sposób kochasz również moją denną pozycję społeczną.

Nie mogłem się zdobyć na nic więcej poza „nie”. Powtarzałem to wiele razy w najrozmaitszych tonacjach. Byłem tak strasznie przygnębiony, że nawet rozważałem możliwość istnienia ziarnka prawdy w jej strasznym przypuszczeniu.

Ale i ją również to wszystko wykończyło.

— Nie mogę wydawać sądów, Ollie. Myślę tylko, że to jest jakaś tego część. Bo widzisz, wiem, że kocham nie tylko ciebie samego. Kocham twoje nazwisko. I twoją liczbę porządkową.

Odrzuciła głowę, pomyślałem, że może się rozplacze. Ale nic podobnego, dokończyła tylko swoją myśl:

— Przecież to jest również część ciebie.

Siedziałem tak chwilę wpatrując się w neon mrugający napisem „Ślimaki i ostrygi”. To właśnie tak bardzo kochałem w Jenny, jej umiejętność czytania we mnie, rozumienia spraw, których nigdy nie potrzebowałem formować w słowa. I teraz tak samo. Ale czy potrafię uznać, że nie jestem doskonały? Boże, a przecież ona potrafiła dostrzec nie tylko moją niedoskonałość, ale i własną. O rany, jak mi było wstyd!

Nie miałem pojęcia, co tu, kurczę, powiedzieć.

— Może miałabyś ochotę na ślimaki albo ostrygi, Jenny?

— Może miałabyś ochotę dostać w mordę?

— Tak — odpowiedziałem.

Zacisnęła dłoń w pięść, a potem przyłożyła ją delikatnie do mojego policzka. Ucałowałem tę dłoń, ale Jenny, kiedy chciałem ją objąć, przytrzymała mnie wyciągniętą ręką i warknęła jak rewolwerowiec:

— Ruszaj! Do kierownicy i jazda! Szybko!

Jechałem bardzo szybko. Bardzo.

Myślą przewodnią uwag ojca było to, co nazywał moim nadmiernym pośpiechem. Za szybko. Zbyt pochopnie. Nie pamiętam dokładnie tego trucia, ale wiem, że tekst, który był podstawą jego kazania podczas naszego obiadu w Klubie Harwardczyków, dotyczył przede wszystkim mego zbytniego pośpiechu. Ojciec tak się rozpędził, że nawet wytknął mi zbyt śpieszne tykanie jedzenia. Podsunąłem uprzejmie, że jestem człowiekiem dorosłym i nie powinien już korygować mojego zachowania ani nawet robić uwag na ten temat. Zauważył łaskawie, że nawet wielkim mężom stanu przydaje się od czasu do czasu konstruktywna krytyka. Uznałem, że jest to niezbyt subtelna aluzja do jego poczynań w Waszyngtonie podczas pierwszej prezydentury Roosevelta. Ale nie miałem zamiaru pozwalać mu na snucie wspomnień o Franklinie Delano Rooseveltcie ani o jego własnej roli w reformie bankowej Stanów Zjednoczonych. Siedziałem więc cicho.

Jak powiedziałem, jedliśmy obiad w Klubie Harwardczyków w Bostonie (ja jadłem zbyt szybko, jeśli przyjąć ocenę ojca). Byliśmy więc otoczeni jego towarzystwem. Jego koledzy uniwersyteccy, klienci, wielbiciele i tak dalej. Idzie mi o to, że jakkolwiek by się na to patrzeć, sytuacja nie dawała równych szans. Wystarczyło nastawić ucha, żeby usłyszeć: „O, idzie Oliwer Barrett” albo: „To Barrett, ten świetny sportowiec”.

Była to jeszcze jedna z naszej serii antyrozmów. Rzucał się w oczy jej ogólny charakter.

— Ojczy, nie powiedziałaś ani słowa o Jennifer.

— Co tu jest do powiedzenia? Postawiłeś nas wobec faktu dokonanego, prawda?

— Ale co o niej myślisz, ojczy?

— Myślę, że jest godna podziwu. Dla dziewczyny z jej pochodzeniem dojście do Radcliffe...

Tym jakimś pieprzeniem o narodowym tyglu chce wykręcić się od odpowiedzi.

— Do rzeczy, ojczy.

— Rzecz nie tyczy tej młodej damy — powiedział — ale ciebie.

— No?

— Idzie o twój bunt. Ty się buntujesz, synu.

— Ojczy, nie mogę pojąć, dlaczego małżeństwo ze śliczną i zdolną studentką Radcliffe ma oznaczać bunt, przecież to nie jest żadna zwariowana hippiska...

— Ona nie jest również...

Aha, o to chodzi. Tu cię boli.

— Co cię najbardziej drażni, ojczy, czy to, że ona jest katoliczką czy to, że jest biedna?

Odpowiedział jakby szeptem, pochylając się ku mnie lekko:

— A ciebie co najbardziej pociąga?

Miałem ochotę wstać i wyjść. Powiedziałem mu to.

— Zostań i rozmawiaj jak mężczyzna — rozkazał.

W odróżnieniu od czego: Chłopca? Dziewczyny? Myszy?

W każdym razie zostałem.

Skurwielowi dało to satysfakcję. To znaczy wiedziałem, że uznał ten fakt za jedno ze swoich licznych zwycięstw nade mną.

— Prosiłbym cię tylko, żebyś trochę zaczekał — powiedział Oliwer Barrett III.

— Niech ojciec sprecyzuje to „trochę”

— Skończ Szkołę Prawa. Jeśli to coś autentycznego, to wytrzyma próbę czasu.

— To jest autentyczne, ale czemu, do cholery, miałbyś mnie poddawać próbom?

Sens moich słów był, sądzę, jasny. Opierałem się ojcu. Jego arbitralności. Jego zaciekłym wysiłkom, aby dominować nade mną i kierować moim życiem.

— Oliwer... — zaczął nową rundę — jesteś nieletni...

— Nieletni kto...? — traciłem już panowanie nad sobą.

— Nie masz jeszcze dwudziestu jeden lat. Prawnie nie jesteś człowiekiem dorosłym.

— Pieprzę te prawne brednie.

Być może ktoś z siedzących przy sąsiednich stolikach usłyszał tę głośną uwagę. Jakby chciał to zrównoważyć, Oliwer III przemówił do mnie jadowitym szeptem:

— Jeśli się z nią teraz ożenisz, nie odezwę się więcej do ciebie ani słowem. — A gównu mnie obchodzi, czy ktoś to usłyszy, czy nie.

— Ojczy, czy ty sobie wyobrażasz, że twoje słowo ma jakąś wartość?

Przestałem być częścią jego życia i rozpocząłem własne.

9

Pozostawało jeszcze Cranston w stanie Rhode Island, miasteczko nieco bardziej oddalone od Bostonu na południe niż Ipswich na północ. Po klęsce, jaką była prezentacja Jenny jej przyszłym teściom (czy mam ich teraz nazywać antyteściami? — pytała Jennifer) opuszczała mnie pewność siebie, gdy myślałem o spotkaniu z jej ojcem. Bo przecież

będę musiał stawić czoło tej wylewnej miłości w wydaniu włosko-śródziemnomorskim, wzmocnionej przez fakt, że Jenny jest jedynaczką, i to, że nie ma matki, co się równa nienormalnie bliskiemu związkowi z ojcem. Będę musiał stanąć wobec tych wszystkich sił uczuciowych opisywanych w książkach psychologicznych.

Plus fakt, że jestem nędzarz.

No bo wyobraźcie sobie przez chwilę, że jakiś Olivero Barretto, miły włoski chłopak z sąsiedniego domu w Cranston, przychodzi w odwiedziny do pana Cavilleri, uczciwie zarabiającego na życie miejscowego mistrza cukierniczego, i powiada: „Chciałbym się ożenić z pana jedyną córką, Jennifer”. Jakie byłoby pierwsze pytanie starszego pana? (Nie kwestionowałby miłości Barretto, ponieważ znać Jenny to kochać Jenny, jest to prawda powszechnie wiadoma). Pan Cavilleri powiedziałby coś w tym guście: „Barretto, a z czego ty ją zamierzasz utrzymywać?”

A teraz wyobraźcie sobie reakcję zacnego cukiernika, któremu Barretto mówi, że to właśnie córka pana Cavilleri będzie utrzymywała swego męża, i to co najmniej przez najbliższe trzy lata. Czy zacny pan Cavilleri nie pokazałby mu drzwi i — nawet gdyby Barretto był mego wzrostu — nie dołożyłby mu jeszcze w szczękę?

Musiałby. To oczywiste.

To wszystko powinno tłumaczyć, dlaczego w to niedzielne n w popołudnie ściśle przestrzegałem wszelkich ograniczeń szybkości, kiedy jechaliśmy na południe Autostradą Nr 95. Jenny, która już zdążyła polubić szybkość, z jaką zwykle prowadzę, zarzuciła mi w pewnym momencie, że na odcinku, gdzie obowiązywało czterdzieści pięć mil na godzinę, jadę czterdziestką. Powiedziałem jej, że silnik wymaga wyregulowania, w co absolutnie nie uwierzyła.

— Powiedz mi to jeszcze raz, Jen.

Cierpliwość nie była cnotą Jenny, toteż odmówiła dodawania mi otuchy przez powtarzanie odpowiedzi na wszystkie głupie pytania, jakie jej stawiałem.

— Tylko jeszcze jeden raz, proszę.

— Zadzwoiłam do niego. Powiedziałam mu. Powiedział, że w porządku. Po angielsku, bo, jak ci mówiłam, w co nie chcesz uwierzyć, on nie umie ani słowa po włosku, z wyjątkiem kilku przekleństw.

— Ale co znaczy „w porządku”?

— Czy chcesz powiedzieć, że Harvardzka Szkoła Prawa przyjęła faceta, który nie potrafi zdefiniować, co to znaczy „w porządku”?

— To nie jest termin prawny, Jenny.

Dotknęła mego ramienia. To, dzięki Bogu, zrozumiałem. Ale wciąż

mało mi było wyjaśnień. Musiałem wiedzieć, czego mam się spodziewać.

— „W porządku” może również znaczyć „jakoś to zniosę”.

Znalazła w sercu dość miłosierdzia, by mi powtórzyć po raz n-ty szczegóły swojej rozmowy z ojcem. Był zadowolony. Naprawdę. Kiedy wysyłał ją do Radcliffe, nie oczekiwał, że wróci do Cranston, aby wyjść za mąż za chłopca z sąsiedztwa (który, nawiasem mówiąc, zaproponował jej małżeństwo tuż przed jej wyjazdem). Z początku nie bardzo chciał uwierzyć, że nazwisko jej przyszłego naprawdę brzmi Oliwer Barrett IV. Potem przestrzegał swoją córkę, żeby nie łamała jedenastego przykaza-
nia.

— A jakie to? — zapytałem.

— Nie pieprz ojcu swemu.

— Och!

— I to wszystko, Oliwer. Naprawdę.

— On wie, że ja jestem goły?

— Tak.

— I nic się tym nie przejmuję?

— Przynajmniej macie coś wspólnego.

— Ale byłby bardziej zadowolony, gdybym miał trochę forsy.

— A ty nie?

Zamknąłem się na resztę drogi.

Jenny mieszkała na ulicy zwanej Hamilton Avenue: długi szereg drewnianych domków, przed domkami gromady dzieci i trochę sęk-
atych drzew. Jadąc tą ulicą i rozglądając się za miejscem do parkowa-
nia, czułem się jak w innym kraju. Przede wszystkim dlatego, że tyle
tu było ludzi. Oprócz bawiących się dzieci, na werandach siedziały
całe rodziny, które nie miały najwidoczniej nic innego do roboty w to
niedzielne popołudnie, niż przyglądać się, jak parkuję moje MG.

Jenny wyskoczyła pierwsza. Miała tu w Cranston niewiarygodnie
szybkie odruchy — jak zwinny mały konik polny. Kiedy patrzący z we-
rand zobaczyli, kim jest moja pasażerka, wybuchł jeden ogromny krzyk.
Ni mniej ni więcej tylko wielka Cavilleri! Słyszając te powitania po prostu
wstydzilem się wysiąść. Bo przecież nawet w przybliżeniu, nawet na mo-
ment, nie mogłem uchodzić za ewentualnego Olivero Barretto.

— Hej, Jenny — usłyszałem pełen werwy okrzyk jednej z matron.

— Witam, pani Capodilupo — usłyszałem wrzask Jenny. Wyląłem
z wozu. Czuję na sobie ich spojrzenia.

— Witaj! A ten chłopiec to kto? — zakrzyknęła pani Capodilupo.
Nie bawią się tutaj w subtelnosci.

— Nikt! — odkrzyknęła Jenny. Co niezmiernie podniosło mnie na
duchu.

— Możliwe — krzyknęła w moim kierunku pani Capodilupo — ale dziewczyna, z którą przyjechał, to ktoś.

— On o tym wie — odpowiedziała Jenny.

Potem odwróciła się, by usatysfakcjonować sąsiadów po przeciwnej stronie.

— On o tym wie — oświadczyła nowej gromadzie kibiców. Wzięta mnie za rękę (byłem obcy w tym raju) i poprowadziła po schodach do numeru 189a przy Hamilton Avenue.

Był to niezręczny moment.

Stałem po prostu, a Jenny powiedziała:

— To jest mój ojciec. — Filip Cavillero, z gruba ciosany (pewno pięć stóp, dziewięć cali wzrostu i sto sześćdziesiąt pięć funtów wagi) jegomość dobrze po czterdziestce, wyciągnął do mnie rękę.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Miał silne ręce.

— Dzień dobry panu.

— Fil — poprawił mnie. — Jestem Filip.

— Panie Filipie — powtórzyłem potrząsając jego ręką.

Był to również przerażający moment, bowiem pan Cavillero, gdy przestał potrząsać moją ręką, obrócił się ku córce i wydał nieprawdopodobny ryk:

— Jennifer!

Przez ułamek sekundy nic się nie działo. A potem rzucili się sobie w objęcia. Ściskali się. Bardzo mocno. Kotylsali się w uścisku. Pan Cavillero w braku komentarzy potrafił tylko (teraz bardzo czule) powtarzać imię córki: „Jennifer”. Zaś córka, kończąca *cum laudae* studia w Radcliffe, potrafiła w odpowiedzi powtarzać tylko: „Fil!”

Ja tu z pewnością nie miałem nic do roboty.

Jedno mi się przydało tego wieczoru z moich dobrych manier. Zawsze mnie uczono, żeby nie mówić z pełnymi ustami. Ponieważ Fil i jego córka sprzymierzili się w akcji bezustannego ich zapełniania, nie potrzebowałem mówić. Musiałem chyba zjeść rekordową ilość włoskich wypieków. Potem przez dłuższy czas ku wielkiej radości obydwójga Cavillero zastanawiałem się głośno, które najbardziej mi smakowały (z każdego gatunku zjadłem co najmniej dwa, w obawie, żeby ich nie urazić).

— On jest w porządku — oznajmił Filip Cavillero swojej córce.

Co to może znaczyć?

Tym razem nie potrzebowałem, by mi definiowano „w porządku”, chciałem tylko wiedzieć, któremu z moich nielicznych a rozważnych posunięć zawdzięczam to popularne określenie.

Może smakowały mi właściwe ciastka? Czy też mój uścisk dłoni był odpowiednio silny? Co?

— Mówiłam ci, że on jest w porządku, Fil — oświadczyła córka pana Cavilleri.

— No, to w porządku — odparł jej ojciec — ale jednak musiałem sam sprawdzić. Teraz już sprawdziłem. Oliwier?

— Słucham pana?

— Fil.

— Tak, panie Filipie.

— Jesteś w porządku.

— Dziękuję panu. Ogromnie mi miło. Naprawdę. I pan wie, co ja czuję do pańskiej córki. I do pana.

— Oliwier — przerwała mi Jenny — przestań wreszcie pieprzyć, jakbyś był w salonach i...

— Jennifer — przerwał jej pan Cavilleri — czy nie możesz wyrażać się ładniej? Przecież to jest, choroba, nasz gość!

Podczas kolacji (ciastka okazały się tylko przekąską) Filip starał się odbyć ze mną poważną rozmowę, nietrudno zgadnąć, na jaki temat. Nie wiadomo dlaczego uznał, że potrafi doprowadzić do pojednania między Oliwerm III i IV.

— Pogadam z nim przez telefon jak ojciec z ojcem — prosił.

— Fil, to jest strata czasu.

— Nie mogę tak siedzieć z założonymi rękoma i patrzeć, jak ojciec wyrzeka się swojego dziecka. Nie mogę.

— Tak, ale ja też się go wyrzekam.

— Żebym tego więcej nie słyszał! — teraz rozgniewał się naprawdę. — Miłość ojcowską trzeba szanować, trzeba jej strzec. Jest rzeczą rzadką.

— Zwłaszcza w mojej rodzinie — odpowiedziałem.

Jenny wstawiała co chwilę, krzując się przy stole, toteż prawie nie brała udziału w tej rozmowie.

— Połącz mnie z nim — powtórzył Filip. — A już ja to załatwię.

— Nie, Fil. Założyliśmy między sobą zimną linię.

— Ale postuchaj, Oliwier, on zmięknie. Powiadam ci, że zmięknie. Jak przyjdzie czas ruszać do kościoła...

W tej chwili Jenny, która właśnie podawała talerzyki do deseru, rzuciła ojcu złowieszczo:

— Fil...

— Tak, Jen?

— W sprawie tego kościoła...

— Tak?

— Mmm... jesteśmy... raczej przeciwni, Fil...

— Co? — spytał pan Cavilleri. Potem, natychmiast wyciągając niewłaściwy wniosek, zwrócił się do mnie przepaszająco.

— To znaczy... wcale nie myślałem koniecznie o kościele katolickim, Oliwer. To znaczy, jak ci na pewno Jennifer mówiła, jesteśmy katolikami. Ale miałem na myśli twój kościół, Oliwer, Pan Bóg pobłogosławi wasz związek w każdym kościele, jestem przekonany.

Spojrzałem na Jenny, która jak widać nie poruszyła tego istotnego tematu w rozmowie telefonicznej.

— Oliwer — wyjaśniła — tego było naprawdę za dużo, żeby mu zwalić na łeb za jednym razem.

— O co chodzi? — pytał niezmiernie uprzejmy pan Cavilleri. — Walcie śmiało, dzieci, wszystko, co wam leży na sercu.

Dlaczego tak się stało, że akurat w tym momencie mój wzrok padł na porcelanową figurkę Matki Boskiej stojącą na półce w jadalni Cavillerich.

— Idzie o to błogosławieństwo Boże, Fil — tłumaczyła Jenny odwracając od niego spojrzenie.

— Tak, Jenny, tak — pan Cavilleri obawiał się najgorszego.

— Umm... jesteśmy temu raczej... przeciwni... Fil — spojrzała na mnie prosząc o pomoc, a ja starałem się wesprzeć ją wzrokiem.

— Bogu? Wszystko jedno, czyjemu Bogu?

Jenny przytaknęła ruchem głowy.

— Czy pozwolisz, że to wytłumaczę, Filipie? — spytałem.

— Proszę.

— Obydwoje jesteśmy niewierzący. I nie chcemy być zakłamanymi.

Myślę, że przyjął te słowa, bo ja je wypowiedziałem. Gdyby to była Jenny, może by ją uderzył. Ale teraz z kolei on tutaj nie miał nic do roboty. Odwrócił od nas obojga wzrok.

— To pięknie — powiedział po bardzo długiej chwili. — Moglibyście mnie poinformować, kto udziela ślubu?

— My — odpowiedziałem.

Spojrzał na córkę szukając potwierdzenia. Skinęła głową. Moja informacja odpowiadała prawdzie.

Po następnej długiej chwili powiedział znowu:

— To pięknie. — A potem zapytał mnie, jako że zamierzam poświęcić się studiom prawniczym, czy tego rodzaju małżeństwo jest... jak to się mówi... legalne.

Jenny wyjaśniła, że uroczystość, o której myślimy, celebruje uniwersytecki kapelan unitariański (ach, kapelan — mruknął Fil), zaś mężczyzna i kobieta przemawiają do siebie nawzajem.

— Narzeczona też mówi? — zapytał, jakby to właśnie miało być ostatecznym ciosem.

— Fil — powiedziała jego córeczka. — Czy wyobrażasz sobie sytuację, w której ja bym się zamknęła?

— Nie, dziecko — zmusił się do nikłego uśmiechu. — Widzi mi się, że nie da rady, będziesz gadać.

Kiedy wracaliśmy do Cambridge, zapytałem Jenny, jak jej zdaniem to wszystko wypadło.

— W porządku — odparła.

10

Pan William F. Thompson, prodziekan Harvardziej Szkoły Prawa, nie mógł uwierzyć własnym uszom.

— Czy ja pana dobrze słyszę?

— Tak, panie dziekanie.

Niełatwo było powiedzieć to po raz pierwszy. I wcale nie łatwiej powtórzyć.

— Potrzebne mi będzie stypendium na przyszły rok.

— Naprawdę?

— Po to tu przyszedłem, panie dziekanie. Jest pan przewodniczącym komisji stypendialnej, prawda?

— Tak, ale to dosyć dziwne. Pański ojciec...

— On już z tym nie ma nic wspólnego, panie dziekanie.

— Przepraszam? — dziekan Thompson zdjął okulary i zaczął je wycierać krawatem.

— Między nami zaszło pewnego rodzaju nieporozumienie.

Dziekan znowu nałożył okulary i patrzył na mnie z tym wyrazem pozbawionym wyrazu, który można mieć tylko, jeśli się jest dziekanem.

— To się bardzo nieszczęśliwie składa — powiedział. „Dla kogo?”, chciałem spytać. Ten facet zaczynał mi działać na nerwy.

— Tak, panie dziekanie — powiedziałem. — Bardzo nieszczęśliwie

się składa. Dlatego właśnie przyszedłem do pana dziekana. Żenię się w przyszłym miesiącu. W ciągu wakacji obydwójce będziemy pracowali. Potem Jenny, to znaczy moja żona, będzie uczyła w szkole prywatnej. To wystarczy na życie, ale nie na czesne. Pańskie czesne jest wysokie, panie dziekanie.

— Ahm... tak — odparł. I to wszystko. Czy ten facet nie rozumie, o co mi chodzi? Co on sobie, u diabła, myśli — że po co tu przyszedłem?

— Panie dziekanie, chciałbym dostać stypendium — powiedziałem jasno i wyraźnie. Po raz trzeci. — Jestem kompletnie goły, a zostałem już przyjęty na prawo.

— Tak — dziekan Thompson znalazł wreszcie przeszkodę techniczną. — Ostateczny termin składania podań o stypendia dawno już minął.

Czego ten sukinsyn jeszcze chce? Krwawych szczegółów? Skandalu? Czego?

— Panie dziekanie, kiedy składałem podanie do Szkoły Prawa, nie wiedziałem, że sprawy tak się potoczą.

— Oczywiście, oczywiście. Moim zdaniem nasza komisja doprawdy nie powinna zajmować się kłótniami rodzinnymi. I to tak przykrymi jak ta.

— Dobrze, panie dziekanie — powiedziałem wstając. — Rozumiem, o co panu chodzi. Ale mimo to nie będę liżał tyłka mojemu ojcu po to, żeby pan mógł dostać jakiś Gmach Barretta na Szkołę Prawa.

Kiedy się obracałem, żeby wyjść, usłyszałem, jak dziekan Thompson mruczy:

— To nie jest fair.

Byłem tego samego zdania.

11

Jennifer otrzymała absolutorium we środę. Na uroczystość zjechały stada najrozmaitszych krewnych z Cranston, Fall River i nawet jedna ciotka z Cleveland. Ustaliliśmy uprzednio, że nie będę przedstawiany jako narzeczony Jenny, a ona nie nosiła pierścionka; chodziło nam o to, żeby nikt się (wkrótce) nie obraził za nieobecność na naszym ślubie.

— Ciociu Klaro, to jest mój chłopiec, Oliwer — mówiła Jenny, dodając zawsze: — On jeszcze nie ma absolutorium.

Wiele było poszturchiwań, szeptów i nawet całkiem jawnych domysłów, ale rodzina nie mogła wydusić żadnych konkretnych informacji ani z Jenny, ani ze mnie, ani z Fila, który, sądzą, był szczęśliwy mogąc uniknąć dyskusji o miłości wśród ateistów.

We czwartek dorównałem Jenny stopniem akademickim, otrzymałem bowiem absolutorium Harvardu — tak jak i ona — *magna cum laude*. Ponadto byłem Marszałkiem Roku *, w której to roli stanąłem na czele absolwentów i poprowadziłem ich na miejsca. W ten sposób szedłem przed tymi, co skończyli *summa cum laude*, przed supermózgami. Miałem ochotę powiedzieć tym typom, że ta pozycja lidera potwierdza moją teorię, iż Hala Sportowa Dillona jest dwa razy więcej warta od Biblioteki Widenera. Ale się powstrzymałem. Niech się wszyscy cieszą.

Nie mam pojęcia, czy Oliwer Barrett III był obecny na uroczystości. Na Harvard Yard mieści się ponad siedemnaście tysięcy ludzi w Dzień Promocji, a ja nie przeszukiwałem tłumy za pomocą lornetki, to pewne. Oczywiście należy mi bilety dla rodziców dać Filowi i Jenny. Rzecz jasna, jako harwardczyk, Drętus mógł zawsze wejść i usiąść z rocznikiem 1926. Ale po cóż by miał to robić? Przecież banki były czynne, no nie?

Nasz ślub odbył się w niedzielę. Nie zaprosiliśmy na tę uroczystość rodziny Jenny przekonani, że pominięcie przez nas Ojca, Syna i Ducha Świętego może się okazać przeżyciem zbyt silnym dla prawowiernych katolików. Ceremonia odbyła się w Gmachu Filipa Brooksa, starym budynku na północnym krańcu Harvard Yard. Uroczystość celebrował Tymoteusz Blauvelt, uniwersytecki kapelan unitariański. Był obecny, rzecz jasna, Ray Stratton, zaprosiłem również Jeremy'ego Nahuma, mojego dobrego przyjaciela z czasów szkolnych, który przełożył Amherst College nad Harvard. Jenny zaprosiła przyjaciółkę z Briggs Hall i — może z sentymentalnych względów — tę wysoką gamoniowatą koleżankę z działu ksiązek do czytania na miejscu. No i oczywiście był Fil.

Kazałem Rayowi Strattonowi zająć się Filem. To znaczy pilnować, żeby się nie rozkleił. Ale trudno powiedzieć, żeby sam Stratton był spokojny. Obaj stali z potwornie nieszczęśliwymi minami i jeden milcząco utwierdzał drugiego w powziętym z góry przekonaniu, że ten ślub metodą „samoobsługową” (jak to określał Fil) okaże się (jak to przepowiadał Stratton) „potwornym cyrkiem”. Tylko dlatego, że ja i Jenny mieliśmy powiedzieć do siebie nawzajem kilka słów. Widzieliśmy już taki ślub tej wiosny, kiedy jedna z koleżanek Jenny wychodziła za studenta sztuk pięknych, Eryka Levensona. Była to bardzo ładna uroczystość i natychmiast zapaliliśmy się do niej.

— Czy jesteście gotowi? — zapytał pan Blauvelt.

* Marszałek Roku najlepszy student roku; liczy się tu nie tylko osiągnięcia naukowe, ale sportowe, społeczne itd.

— Tak — odpowiedziałem za nas obydwoje.

— Przyjaciele — zwrócił się pan Blauvelt do obecnych — jesteśmy tu, aby stać się świadkami połączenia dwojga ludzi w związku małżeńskim. Posłuchajmy wybranych przez nich słów, które chcą odczytać w tej uroczystej chwili.

Panna młoda najpierw. Jenny stała przede mną, recytując wybrany przez siebie wiersz. Był bardzo wzruszający, zwłaszcza dla mnie, wybrała sonet Elizabeth Barrett:

*Gdy duchy nasze staną pełne sił przed sobą
I gdy ku skrzydłom skrzydła wśród ciszy tagodnie
Rozpościerać się będą, aż zapłoną ogniem...*

Kątem oka dostrzegłem Fila Cavilleri; był blady, miał rozluźnione mięśnie twarzy, oczy rozszerzone zdumieniem i uwielbieniem zarazem. Słuchaliśmy, jak Jenny kończy sonet, który był jakby modlitwą o:

*Miejsce, by się zatrzymać, kochać przez dzień
jasny,
Otoczony ciemnością, tajemnicą śmierci.*

Potem przyszła kolej na mnie. Bardzo mi było trudno wyszukać kawałek wiersza, który mógłbym odczytać bez rumieńca. To znaczy, nie potrafiłbym tak stanąć i recytować jakichś ckliwych bredni. Nie potrafiłbym. Ale urywek „Pieśni ze szlaku” Walta Whitmana, choć trochę krótki, powiedział za mnie wszystko:

*...Rękę ci daję!
Miłość ci daję cenniejszą niż pieniądz,
Siebie ci daję, zanim to potwierdzi kaznodzieja
bądź prawo;
Czy ty dasz mi siebie? i powędrujesz ze mną?
I czy trwać będziemy, ja przy tobie, ty przy
mnie, dopóki żyjemy?**

Skończyłem, a w sali zaległa cudowna cisza. Potem Ray Stratton wręczył mi obrączkę i Jenny i ja — sami — wypowiedzieliśmy przysięgę małżeńską, biorąc od tego dnia siebie nawzajem za małżonków, by się kochać i wspierać, aż śmierć nas rozłączy.

Powagą Wspólnoty Stanu Massachusetts pan Tymoteusz Blauvelt zatwierdził nasze małżeństwo.

* Wiersze przełożyła Zofia Kierszys.

Jak się zastanowić, to nasze „oblewanie meczu” (tak to określił Stratton) było pretensjonalnie bezpretensjonalne. Odrzuciliśmy razem z Jenny pomysł szampana, a że nasza mała gromadka mogła się pomieścić w budce telefonicznej, poszliśmy na piwo do Cronina. O ile sobie przypominam, Jim Cronin postawił kolejkę na cześć „Największego hokeisty Harvardu od czasów braci Cleary”.

— Diabła tam — mówił Fil waląc pięścią w stół. — On jest lepszy niż wszyscy Cleary'owie razem wzięci. — Pewno Filip (który w życiu nie widział meczu hokejowego) chciał powiedzieć, że ani Bobby, ani Billy Cleary, bez względu na mistrzostwo swojej jazdy, nie ożenił się przecież z jego uroczą córką. Byliśmy wszyscy trochę zalani, a to był dobry powód, żeby się mocniej zaprawić.

Pozwoliłem Filowi zapłacić rachunek, a decyzja wywołała później jeden z rzadkich komplementów Jenny na temat mojego „nosa” (jeszcze wyrośniesz na człowieka). Ale pod koniec, kiedy odwoziliśmy Fila na autobus, zrobiło się jakoś trochę głupio. Mam na myśli, wiecie... mokre oczy. U niego, Jenny, może nawet i u mnie. Nie pamiętam nic więcej ponad to, że był to wodnisty moment.

W każdym razie udzieliwszy nam wszystkich możliwych błogosławieństw wsiadł do autobusu, a my staliśmy i machaliśmy mu, póki nam nie zniknął z oczu. Dopiero wtedy zaczęła mi świecić straszliwa prawda.

— Jenny, jesteście legalnym małżeństwem.

— Tak, teraz mogę już być dziwką.

12

Jeśli w ogóle można jednym słowem określić nasze codzienne życie w ciągu tych pierwszych trzech lat, to słowem tym jest „kombinować”. Bez przerwy myśleliśmy o tym, jak, u diabła, wyskrobać trochę forsy na to, na co akurat była potrzebna. Na ogół w naszych rachunkach saldo było wyrównane. Zero równało się zero. Nic w tym romantycznego. Pamiętacie tę słynną zwrotkę z Omara Chajjama? Ta księga poezji pod drzewem, bochen chleba, dzban wina i tak dalej? Podstawcie pod tę księgę wierszy „Scott o kartelach”, a zobaczycie, jak ta wizja poetycka nakłada się na moje idylliczne życie. Raj? Gówno, nie raj! Myślałbym jedynie o tym, ile ta książka kosztuje (Czy nie można by skądś wytrzasnąć używanej?) i gdzie moglibyśmy dostać ten chleb

z winem, jeśli to w ogóle realne. No i jak wreszcie wykombinować pieniądze, żeby spłacić długi.

Życie się zmienia. Najprostsza nawet decyzja musi być poddana zawsze czujnej kontroli budżetowej działającej w umyśle.

- Słuchaj, Oliwer, chodźmy dziś wieczór na Becketta!
- To trzy dolary.
- Co to znaczy?
- To znaczy półtora dolara za ciebie i półtora dolara za mnie.
- Czy to znaczy tak, czy nie?
- Ani jedno, ani drugie. To znaczy trzy dolary.

Spędziliśmy nasz miesiąc miodowy na jachcie w towarzystwie dwadzieścioro dzieci. To znaczy ja prowadziłem żaglowiec typu Rhodes, trzydzieści sześć stóp długi, od siódmej rano do której tam sobie moi pasażerowie życzyli, a Jenny opiekowała się dziećmi. Nazywał się to Klub Żeglarski Pequoda w Dennis Port (tuż koło Hyannis Port), a przedsiębiorstwo składało się z wielkiego hotelu, przystani oraz kilkunastu osobnych domków do wynajęcia. Na jednym z najmniejszych domków umocowałem, w wyobraźni, tabliczkę: „Tu sypiali Oliwer i Jenny, w chwilach kiedy się nie kochali”. Należy się chyba nam obydwójgu uznanie za to, że po długim dniu ciągłego okazywania grzeczności klientom — bo przecież w ogromnej mierze zależeliśmy od ich napiwków — byliśmy bardzo mili dla siebie nawzajem. Piszę po prostu „mili”, bo brak mi słów, żeby opisać, co to znaczy kochać Jenny Cavillera i być przez nią kochanym. Przepraszam, chciałem powiedzieć: Jennifer Barrett.

Przed wyjazdem na Cape Cod znaleźliśmy tanie mieszkanie w północnym Cambridge. Nazywam to północnym Cambridge, chociaż formalnie było to miasto Somerville, a budynek znajdował się, jak to określiła Jenny, „w stanie całkowitej rozsyпки”. Niegdyś był to dom dwurodzinny, teraz przerobiono go na cztery mieszkania, przepłacane nawet przy tak niskim komornym. Ale cóż mogą począć studenci po ukończeniu college'u? Mieszkania to chodliwy towar.

— O! jak myślisz, dlaczego Straż Ogniowa nie kazała rozebrać tej budy? — spytała Jenny.

— Pewno strażacy bali się wejść do środka.

— Ja też.

— W czerwcu się nie bałaś. — (Ta rozmowa miała miejsce po naszym powrocie, we wrześniu).

— Ale w czerwcu nie byłam mężatką. Jako mężatka uważam ten budynek za niebezpieczny ze wszelkich miar.

— Co zamierzasz zrobić w związku z tym?

— Porozmawiać z mężem — odpowiedziała. — On się tym zajmie.

— Słuchaj, ja jestem twój mąż.

— Naprawdę? Udowodnij.

— W jaki sposób? — zapytałem, myśląc jednocześnie: Och, nie, nie na ulicy!

— Przenieś mnie przez próg — powiedziała.

— Przecież nie wierzysz w takie bzdury!

— Przenieś mnie, to ci powiem, czy wierzę.

Dobrze. Wziąłem ją na ręce i dźwignąłem po pięciu stopniach na ganek.

— Czemu przystajesz? — spytała.

— Czy to nie próg?

— Odpowiedź jest przecząca.

— Widzę nasze nazwisko przy dzwonku.

— To nie jest, do licha, oficjalny próg. Na górę, zdechlaku!

Do naszej „oficjalnej” siedziby wiodły dwadzieścia cztery stopnie i musiałem stanąć w połowie drogi, żeby złapać oddech.

— Czemu jesteś taka ciężka? — zapytałem.

— Nigdy ci nie przyszło do głowy, że mogę być w ciąży?

Wcale mi to nie ułatwiło złapania oddechu.

— A jesteś? — zapytałem wreszcie.

— Ha! Przestraszyłam cię, co?

— Nie!

— Nie opowiadaj bzdur, Snobku!

— Tak. Przez chwilę trząsałem się ze strachu.

Zaniósłem ją na samą górę.

Był to jeden z tych niewielu zapamiętanych przeze mnie bezcennych momentów, wobec których słowo „kombinować” nie ma najmniejszego znaczenia.

Moje głośne nazwisko pomogło nam uzyskać kredyt w pobliskim sklepie spożywczym, w którym na ogół odmawiano kredytu studentom. A mimo to okazało się dla nas przeszkodą, i to tam, gdzie najmniej bym się tego spodziewał: w szkole Shady Lane, gdzie Jenny miała uczyć.

— Rzecz jasna pod względem płac nauczycielskich Shady Lane nie może się równać ze szkołami państwowymi — powiedziała panna Anna Miller Whitman, przełożona, dodając jeszcze coś w tym sensie, że dla Barrettów ta sprawa nie ma przecież znaczenia. Jenny próbowała roz-

wiać jej złudzenia, lecz nie uzyskała nic więcej ponad zaproponowane jej trzy i pół tysiąca rocznie plus dwie minuty wydziwiań. Uwagę Jenny, że Barrettwie muszą płacić komorne tak samo jak wszyscy inni, panna Whitman uznała za doprawdy świetny dowcip.

Kiedy Jenny opowiedziała mi to wszystko, rzuciłem kilka pomysłowych propozycji pod adresem panny Whitman: co może zrobić z tymi trzema i pół tysiącami. Ale wówczas Jenny zapytała, czy rzucę prawo i będę ją utrzymywał, póki nie skończy kursu, który pozwoliłby jej pracować w szkołach państwowych. Rozważyłem głęboko sytuację przez jakieś dwie sekundy i doszedłem do właściwego a zwięzłego wniosku:

- Gówno.
- Bardzo to wymowne — oświadczyła moja żona.
- A co ja mam powiedzieć, Jenny, może wydziwiać?
- Nie. Musisz polubić spaghetti.

Polubiłem. Polubiłem spaghetti, a Jenny nauczyła się wszelkich możliwych przepisów, by ciasto smakowało jak nieciasto. Złożywszy do kupy nasze wakacyjne dochody, pensję Jenny, mój przewidywany zarobek za nocną pracę na poczcie w czasie świątecznego szczytu — jakoś dawaliśmy sobie radę. To znaczy wiele było filmów, których nie oglądaliśmy (i koncertów, na które ona nie poszła), ale wiązaliśmy jakoś koniec z końcem.

Ale tylko tyle, że wiązaliśmy. To znaczy nasze życie towarzyskie zmieniło się drastycznie. Dalej mieszkaliśmy w Cambridge i teoretycznie Jenny mogła się trzymać ze swoim muzycznym towarzystwem. Ale nie było na to czasu. Wracała ze szkoły na ostatnich nogach, a przecież musiała jeszcze ugotować kolację (jadanie w barach było dla nas sennym marzeniem). Moi przyjaciele okazali się na tyle wyrozumiali, by dać nam spokój. To znaczy nie zapraszali nas, wobec czego i myśmy ich nie musieli zapraszać, rozumiecie, o co mi chodzi.

Nawet skreśliliśmy oglądanie meczów futbolowych.

Jako członek Varsity Club * miałem prawo do miejsc w tym genialnym sektorze widowni przy środkowej linii boiska. Ale miejsce kosztowało tam sześć dolarów, czyli dwanaście dolarów.

— Nieprawda — mówiła Jenny. — To jest sześć dolarów. Możesz iść beze mnie. Nie mam zielonego pojęcia o futbolu, wiem tylko, że ludzie wrzeszczą: „Gola! Gola!”, co ty uwielbiasz, i właśnie dlatego chciałybym, żebyś poszedł, do jasnej cholery!

* Varsity Club — drużyna uniwersytetu, do której mogą należeć studenci wszystkich roczników prócz pierwszego.

— Nie ma o czym mówić — oznajmiłem, boć przecież, mimo wszystko, to ja byłem mężem i głową domu. — Poza tym będę miał czas się uczyć. — Ale mimo to spędzałem sobotnie popołudnia z tranzystorem przy uchu, słuchając wrzasku kibiców, którzy, chociaż odlegli fizycznie o milę, znajdowali się w innym świecie.

Wykorzystałem moje przywileje członka Varsity Club, by zdobyć bilet na mecz dla mego kolegi z roku Robbie Walda. Kiedy Robbie, podziękowawszy wylewnie, opuścił nasze mieszkanie, Jenny poprosiła, żebym jej jeszcze raz wytłumaczył, kto siedzi w sektorze Varsity Club, a ja jeszcze raz wyjaśniłem, że jest to miejsce zarezerwowane dla tych, co, bez względu na wiek, wzrost czy pozycję społeczną, zasłużyli się szlachetnie Harvardowi na polu sportowym.

— Na wodzie również? — zapytała.

— Sportowiec to sportowiec — odparłem. — Lądowy czy wodny.

— Z wyjątkiem ciebie, Oliwer — powiedziała. — Ty jesteś lodowy.

Nie podjąłem tematu przyjmując to za normalną ciętą odpowiedź Jenny i wcale nie chciałem się zastanawiać, czy coś nie kryje się w pytaniu mojej żony dotyczącym sportowych tradycji Uniwersytetu Harvard. Taka na przykład delikatna sugestia, że chociaż na stadionie mieści się czterdzieści pięć tysięcy ludzi, wszyscy byli sportowcy siedzą razem w tym genialnym sektorze. Wszyscy. Starzy i młodzi. Lądowi i wodni — i nawet lodowi. I czy tylko sześć dolarów trzymało mnie z daleka od stadionu w te sobotnie popołudnia?

Nie; jeśli miała jeszcze coś na myśli, wołałbym o tym nie mówić.

13

Państwo Oliwerostwo Barrett III
mają zaszczyt prosić Państwa
na obiad z okazji sześćdziesiątych urodzin
pana Oliwera Barretta II
w sobotę szóstego marca o godzinie siódmej.
Dover House, Ipswich, Massachusetts.
R.S.V.P. *

— No? — spytała Jennifer.

— Czy musisz pytać? — odparłem. Właśnie robiłem streszczenie sprawy „Stan contra Percival”, która była najistotniejszym precedensem

* R.S.V.P. — (franc.) *répondez s'il vous plaît* — uprasza się o odpowiedź.

w prawie kryminalnym. Jenny wymachiwała tym zaproszeniem, jakby chciała mnie wnerwić.

— Myślę, że to już czas, Oliwer.

— Na co?

— Dobrze wiesz, na co — odparła. — Czy on musi czołgać się do ciebie na kolanach?

Staralem się zająć robotą, podczas gdy ona dalej robiła swoją.

— Ollie, on wyciąga rękę.

— Pieprzysz! Przecież to matka adresowała kopertę!

— Mówiłeś, zdaje się, żeś tego listu nie widział — wrzasnęła nieomal.

— No więc dobrze, rzuciłem na niego okiem. Może mi to wyleciało z pamięci. Przecież siedzę jak nieprzytomny nad tym streszczeniem „Stan contra Percival” i wiszą nade mną egzaminy. A w ogóle dość tych kazań.

— Pomyśl, Ollie — tym razem w głosie jej była prośba. — Sześćdziesiąt lat. Nigdzie nie jest napisane, że on jeszcze będzie na tym świecie, kiedy ty wreszcie dojrzejesz do pojednania.

Poinformowałem Jenny w możliwie najprostszym słowach, że pojednanie nigdy nie nastąpi, i czy byłaby łaskawa pozwolić mi się uczyć. Usiadła cichutko, wcisnęła się w róg podnóżka, na którym oparłem stopy. Choć siedziała bez słowa, szybko zdałem sobie sprawę, że wpatruje się we mnie uporczywie. Podniosłem wzrok.

— Pewnego dnia — powiedziała — kiedy cię zrani Oliwer V...

— Nie będzie miał na imię Oliwer, tego możesz być pewna! — wrzasnąłem. Nie podniosła głosu, chociaż zwykle odpowiadała krzykiem na mój krzyk.

— Słuchaj, Ol, nawet gdybyśmy go nazwali Klown Bozo, to dziecko będzie miało wobec ciebie opory, bo byłeś wielkim harwardzkim wyczynowcem. A nim się znajdziesz na pierwszym roku, ty pewno będziesz już członkiem Sądu Najwyższego.

Odpowiedziałem jej, że nie ma mowy, żeby mój syn miał wobec mnie opory. Zapytała wówczas, skąd ta pewność. Nie mogłem przytoczyć argumentów. To znaczy, po prostu wiedziałem, że nasz syn będzie mnie lubił. Nie mogłem dokładnie wyjaśnić, dlaczego. Wtedy, zupełnie bez żadnego związku, Jenny powiedziała:

— Twój ojciec też cię kocha. Kocha się akurat w ten sam sposób, w jaki ty będziesz kochał Bozo. Ale wy, Barrettowie, jesteście tak cholernie dumni i ambitni, że przeszlubiście przez życie przekonani o wzajemnej nienawiści.

— Gdyby nie ty — powiedziałem żartobliwie.

— Tak — przyznała.

— Sprawa skończona — oświadczyłem, bo przecież jestem jej mężem i głową domu. Ja wróciłem wzrokiem do „Stan contra Percival”, a Jenny się podniosła. Nagle jej się przypomniało.

— Pozostaje jeszcze to R.S.V.P.

Wyraziłem przypuszczenie, że absolwentka Radcliffe ze specjalnością muzyczną potrafi chyba ułożyć krótki ładny liścik odmowny bez fachowej pomocy.

— Słuchaj, Oliwer — powiedziała. — Z pewnością kłamałam i oszukiwałam w życiu. Ale nigdy nikogo rozmyślnie nie zraniłam. I chyba nie potrafię.

Istotnie w tym momencie raniła tylko mnie, poprosiłem ją więc uprzejmie, żeby załatwiła sprawę R.S.V.P. w sposób, jaki jej najbardziej odpowiada, z tym tylko, żeby sens odpowiedzi mówił niezbitcie, iż się u nich nie pokażemy, chyba żeby się ziemia zapadła. Wróciłem ponownie do „Stan contra Percival”.

— Jaki to numer? — zapytała cicho. Stała przy telefonie.

— Nie możesz napisać?

— Za chwilę stracę panowanie nad sobą. Jaki numer?

Powiedziałem i natychmiast zagłębiłem się w apelacji Percivala do Sądu Najwyższego. Nie słuchałem Jenny. To znaczy starałem się nie słuchać. Ale była w tym samym pokoju.

— Och, dzień dobry panu — słyszałem jej słowa. Czyżby sam Skurwiel odebrał telefon? Więc nie siedzi w tym tygodniu w Waszyngtonie? Przecież tak pisali w ostatniej „Sylwetce” w „New York Timesie”. Coś niedobrze z naszą prasą.

Ile trzeba czasu, żeby powiedzieć nie?

Bo jakoś trwało to u Jenny dłużej, niż na ogół zabiera wypowiedzenie tego prostego słowa.

— Ollie?

Zakryła ręką słuchawkę.

— Ollie, czy to musi być „nie”?

Kiwnięciem głowy dałem do zrozumienia, że musi, gestem dłoni prosiłem, żeby, do cholery, zrobiła to szybciej.

— Jest mi strasznie przykro — mówiła do telefonu — to znaczy jest nam strasznie przykro, proszę pana...

Na m! Czy ona musi mnie w to wciągać? I dlaczego nie może powiedzieć, co trzeba i położyć słuchawki.

— Oliwer!

Znowu zakryła dłonią słuchawkę; teraz mówiła bardzo głośno:

— Zraniłeś go, Oliwer. Jak możesz tak siedzieć i pozwalać, żeby twój ojciec krwawił!

Gdyby się nie doprowadziła do takiego stanu emocjonalnego, wytłumaczyłbym jej raz jeszcze, że głązy nie krwawią, że nie powinna przenosić swoich kretyńskich włosko-śródziemnomorskich pojęć na rodziców stojących na urwistych wysokościach Skały Rushmore. Ale była bardzo rozklejona. A to z kolei wyprowadzało mnie z równowagi.

— Oliwer — błagała — czy nie możesz powiedzieć jednego słowa? Do niego? Chyba zwariowała.

— Chociaż dzień dobry.

Wyciągnęła do mnie słuchawkę. I starała się powstrzymać łzy.

— Nigdy nie będę z nim rozmawiał — powiedziałem spokojnie. —

Nigdy.

Teraz płakała. Niegłośno, ale łzy płynęły jej po policzkach. A potem... zaczęła błagać.

— Dla mnie, Oliwer. Nigdy w życiu o nic cię nie prosiłam. Proszę!

Nas troje. Nas troje stoi tak (jakoś wyobrażałem sobie, że mój ojciec też jest tutaj z nami) i czeka. Na co? Na mnie?

Nie byłem w stanie tego zrobić.

Czy Jenny nie rozumie, że prosi o coś niemożliwego? Że zrobiłbym dla niej wszystko, absolutnie wszystko, tylko nie to? Kiedy wpatrzony w podłogę potrząsałem głową odmawiając jej uparcie i z okropną przykrością, powiedziała do mnie z cichą furią, jakiej nigdy nie byłem u niej świadkiem.

— Jesteś bez serca. — A potem zakończyła rozmowę z moim ojcem:

— Proszę pana, Oliwer chce panu powiedzieć, że na swój własny sposób...

Przerwała, by zaczerpnąć tchu. Szlochała, więc nie było to łatwe. Zbyt zdumiony, by cokolwiek zrobić, czekałem końca tych słów rzekomo ode mnie.

— ...on bardzo pana kocha — zakończyła i natychmiast odłożyła słuchawkę.

Nie istnieje żadne racjonalne wytłumaczenie tego, co potem zrobiłem. Proszę to uznać za chwilowy obłąd. Poprawka. O nic nie proszę. To, co zrobiłem potem, nigdy nie powinno mi zostać wybaczone.

Wyrwałem jej aparat z ręki, później z kontaktu i cisnąłem nim przez cały pokój.

— Niech cię cholera, Jenny! Nie chcę cię więcej znać!

Stałem bez ruchu dysząc jak zwierzę, w które tak nagle się zamieniłem. Jezu! Co mnie u diabła opętało? Obróciłem się, by spojrzeć na Jen. Ale jej nie było.

Naprawdę nie było, nie słyszałem nawet odgłosu kroków na schodach. Boże, musiała wylecieć w tym momencie, kiedy złapałem za tele-

fon. Nie wzięta płaszcz ani szalika! Ból, jaki czułem nie wiedząc, co robić, był nie mniejszy niż ból na myśl o tym, co zrobiłem.

Szukałem jej wszędzie.

Przejrzałem szeregi wkuwających studentów w bibliotece Szkoły Prawa, szukałem i szukałem. Przyszedłem tam i z powrotem, kilka razy. Choć nie powiedziałem słowa, czułem, że moja napięta twarz i wzrok muszą wszystkich rozpraszać. Mam to gdzieś.

Ale Jenny nie było.

Potem nura do Harkness Commons, do halu i kawiarni. Potem szalony sprint do Agassiz Hall w Radcliffe. Tam też jej nie było. Teraz już odbywałem wszystko biegiem, nogi starały się dotrzymać tempa uderzeniom serca.

Paine Hall * (co za cholerna ironia w tej nazwie). Na dole są sale do ćwiczeń fortepianowych. Znam Jenny. Jak jest zła, to siada i wali w tę głupią klawiaturę. No tak. Ale co robi, kiedy się śmiertelnie przestraszy?

Głupio chodzić tak po korytarzu, między dwoma szeregami sal do ćwiczeń. Przez drzwi słysząc dźwięki Mozarta, Bacha, Bartoka i Brahmsa, złane w niesamowity, piekielny hałas.

Jenny musi tu być!

Instynktownie przystanąłem pod drzwiami, gdzie usłyszałem, jak ktoś odwala (z wściekłością?) preludium Szopena. Zatrzymałem się na chwilę. Straszne to było granie — co chwila przerwa i od nowa, i ciągle fałszy. W jednej z przerw usłyszałem dziewczęcy głos: „Gówno!” — To musi być Jenny. Gwałtownie otworzyłem drzwi.

Przy fortepianie siedziała dziewczyna z Radcliffe. Podniosła wzrok. Brzydka, szeroka w ramionach hippiska, zła, że jej przeszkadzam.

— Co jest grane, człowieku?

— Nic, nic — odparłem i zaraz zamknąłem drzwi.

Potem na Harvard Square. Do Cafe Pamplona, do Arkady Toma, nawet na Hayes Bick — chodzą tam różne artystyczne typy. Nic.

Kolejka podziemna była już nieczynna, ale jeśli Jenny pobiegła prosto na Harvard Square, mogła złapać pociąg do Bostonu. Na dworzec autobusowy.

Dochodziła pierwsza, kiedy wrzucałem do aparatu ćwierć dolara i dwie dziesięciocentówki. Była to jedna z budek koło kiosku na Harvard Square.

— Halo, Fil?

* Gmach ufundowany przez rodzinę Paine. Pain po angielsku — ból.

— Co? — odpowiedział śpiąco. — Kto mówi?

— To ja, Oliwer.

— Oliwer! — w głosie jego zabrzmiało przerażenie. — Czy coś się stało z Jenny? — Jeśli mnie o to pyta, to chyba jej u niego nie ma, co?

— Hm, nie, Fil, nie.

— Bogu dzięki. A jak się czujesz, Oliwer?

Kiedy już się upewnił, że Jenny jest cała i zdrowa, zrobił się bezpośredni i serdeczny. Jakbym go nie wyrwał z najgłębszego snu.

— Doskonale, Fil, świetnie. Słuchaj, Fil, czy Jenny często się z tobą kontaktuje?

— Nie dosyć — odparł dziwnie spokojnym głosem.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Fil?

— Mój Boże, powinna częściej dzwonić. Przecież ja nie jestem obcy, no nie?

Jeśli można doznawać jednocześnie uczucia ulgi i przerażenia, to właśnie ja je teraz przeżywałem.

— Czy ona jest z tobą? — zapytał.

— Co?

— Daj mi tu Jenny, sam ją zwymyślam.

— Nie mogę, Fil.

— Śpi? Aha, jak śpi, to jej nie budź.

— Tak — powiedziałem.

— Słuchaj, smarkaczu!

— Słucham!

— Czy do Cranston jest tak daleko, że nie możecie przyjechać kiedyś w niedzielę po południu? Co? Albo może ja bym przyjechał.

— Nie, Fil, my przyjedziemy.

— Kiedy?

— W którąś niedzielę.

— Co to znaczy „w którąś niedzielę”? Dobre dziecko nie mówi „w którąś”, mówi „w najbliższą”. W najbliższą niedzielę, Oliwer.

— Tak jest. W najbliższą niedzielę.

— O czwartej. Tylko jedź ostrożnie. Dobrze?

— Dobrze.

— I następnym razem dzwoń na mój koszt, do cholery!

Odłożył słuchawkę.

Stałem tak, zagubiony na tej wyspie, w ciemnościach Harvard Square, nie wiedząc, dokąd iść ani co robić. Jakiś kolorowy podszedł do mnie i zapytał, czy nie potrzeba mi ziela. Odpowiedziałem mu na pół przytomnie:

— Nie, bardzo panu dziękuję.

Już teraz nie biegłem. Do czego miałem się śpieszyć — do pustego domu? Zrobiło się już bardzo późno, a ja cały zdrętwiałem — bardziej ze strachu niż z zimna, chociaż wierzcie mi, nie było ciepło. Z odległości kilku jardów wydało mi się, że ktoś siedzi na schodkach. Pomyślałem, że mi się ćmi w oczach, bo postać tkwiła bez ruchu.

Ale to była Jenny.

Siedziała na górnym schodku.

Byłem zbyt zmęczony, by się przerazić, zbyt mocno mi ulżyło, żebym mógł mówić. W duchu liczyłem, że Jenny ma przy sobie jakieś tępe narzędzie, którym da mi w łeb.

— Jen?

— Ollie?

Obydwoje mówiliśmy tak cicho, że trudno było nadać jakis uczuciowy ton słowom.

— Zapomniałam kluczy — powiedziała Jen.

Stałem tak u stóp schodków, bojąc się zapytać, od jak dawna tu siedzi: wiedziałem tylko, że wyrządziłem jej straszną krzywdę.

— Jenny, przepraszam...

— Przestań — ucięła, a potem powiedziała bardzo cicho: — Kto kocha, nie potrzebuje nigdy mówić: przepraszam.

Włazłem do niej na schodki.

— Chciałabym teraz iść spać.

— Dobrze.

Poszliśmy na górę do naszego mieszkania. Kiedyśmy się rozbierali, spojrzała na mnie krzepiąco.

— Mówiłam serio.

I to było wszystko.

14

Był lipiec, kiedy przyszedł ten list.

Przesłano go z Cambridge do Dennis Port, więc pewno dostałem go z opóźnieniem jednego dnia czy coś koło tego. Ruszyłem z kopyta do Jenny, która pilnowała dzieci podczas gry w piłkę, i powiedziałem robiąc się na Humphreya Bogarta:

— Idziemy.

— Co?

— Idziemy — powtórzyłem, i to widać tak autorytatywnie, że Jenny ruszyła za mną w kierunku wody.

— O co chodzi, Oliwier? Czy mógłbyś mi powiedzieć na litość boską?!

W dalszym ciągu szedłem zdecydowanym krokiem na molo.

— Proszę na łódź, Jennifer — wskazałem łódź ręką, w której trzymałem list. W ogóle go nie zauważyła.

— Oliwer, ja muszę pilnować dzieci — protestowała, wchodząc jednak postusznie na łódź.

* * *

— Do cholery, może wreszcie wytłumaczysz, o co chodzi? — Byliśmy już kilkaset metrów od brzegu.

— Mam ci coś do powiedzenia.

— Nie mogłeś tego powiedzieć na łódzie?! — wrzasnęła.

— Nie, do cholery! — odkrzyknąłem (wcale nie byliśmy źli, tylko wiał straszny wiatr i musieliśmy krzyżeć, żeby się nawzajem usłyszeć).

— Chciałem być z tobą sam na sam. Popatrz, co dostałem. — Pomachałem kopertą. Natychmiast rozpoznała nadruk na kopercie.

— O, z Harvardziej Szkoły Prawa! Czyżby cię wylali?

— Zgaduj jeszcze raz, ty optymistko!

— Jesteś pierwszy na roku — zgadywała.

Teraz niemal było mi wstyd jej powiedzieć.

— Nie całkiem. Trzeci.

— Och! Tylko trzeci?

— Słuchaj, to jednak znaczy, że wchodzę do redakcji „Harwardzkiego Przeglądu Prawniczego”! — wrzeszczałem.

Siedziała z twarzą kompletnie bez wyrazu.

— O rany, Jenny — zaskowyczałem — powiedz coś!

— Powiem, jak poznam numer pierwszy i drugi — odparła.

Spoglądałem na nią licząc, że zaraz twarz jej rozjaśni uśmiech, który w sobie tłumiła, wiedziałem.

— No, Jenny — prosiłem.

— Odchodzę. Żegnam — oświadczyła i skoczyła do wody. Dałem nurka tuż za nią i w chwilę później obydwójce trzymaliśmy się burty chichocząc.

— Widzisz — wygłosiłem jedną z moich najdowcipniejszych w życiu uwag — rzuciłaś się dla mnie do wody.

— Nie bądź taki zarozumiały — odparła. — Ostatecznie jesteś tylko trzeci.

— Słuchaj, stara krowo!

— Co, stary byku?

— Cholernie dużo ci zawdzięczam — przyznałem uczciwie.

— Nieprawda, głupi, nieprawda.

— Nieprawda? — powtórzyłem nieco zdziwiony.

— Zawdzięczasz mi wszystko — powiedziała.

Tego wieczoru puściliśmy dwadzieścia trzy dolary na kolację z homarami w ekstrawaganckim lokalu w Yarmouth. Jenny wciąż powstrzymywała się od wypowiedzenia swego zdania, póki nie obejrzy owych dwóch dżentelmenów, przez których, jak się wyraziła, „zostałem pobity”.

Chociaż to brzmi głupio, byłem w niej tak bardzo zakochany, że natychmiast po powrocie do Cambridge polecałem sprawdzić, kim oni są. Z ulgą dowiedziałem się, że pierwszy to Erwin Blasband, absolwent City College z roku 1964, ryjon, w okularach, nie wysportowany i w ogóle nie jej typ; numerem dwa okazała się Bella Landau, absolwentka Bryn Mawr z 1964 roku. Wszystko się bardzo dobrze składało, zwłaszcza że Bella Landau była babką do rzeczy (jak na studentkę prawa) i mogłem czasem ponabijać się z Jenny podając jej „szczegóły” tego, co się działo późnymi wieczorami w Gmachu Gannetta, gdzie mieściła się redakcja „Przeglądu Prawniczego”. A były to naprawdę późne wieczory! Często wracałem do domu o drugiej albo trzeciej rano. No bo sześć kursów plus redakcja „Przeglądu Prawniczego”, plus fakt, że byłem autorem artykułu w jednym z numerów „Przeglądu” „Pomoc prawna dla biedoty miejskiej na podstawie badania dzielnicy Boston Roxbury” — Oliwier Barrett IV HPP *, marzec 1966, str. 861—908.

— Dobra praca. Naprawdę dobra praca.

Nic innego nie potrafił powiedzieć Joel Fleishman, starszy redaktor. Prawdę mówiąc, oczekiwałem mniej ogólnikowych komplementów od faceta, który w przyszłym roku miał aplikować u sędziego Douglasa, ale on, po przejrzaniu ostatecznej wersji artykułu, powtarzał w kółko tylko to jedno. Boże, a Jenny powiedziała, że to jest „ostre, inteligentne i świetnie napisane”. Gdzie tam jemu do niej!

— Fleishman powiedział, że to jest dobra praca, Jen.

— O rany, musiałam czekać aż do tej godziny, żeby się tego dowiedzieć? Nie powiedział nic o bibliografii, o stylu, o czymkolwiek?

— Nie, Jen. Powiedział tylko, że dobre.

— I to zabrało tyle czasu?

Mrugnąłem do niej porozumiewawczo:

— Miałem różne sprawy do załatwienia z Bellą Landau.

— Oo?

* HPP — „Harwardzki Przegląd Prawniczy”.

Nie mogłem rozgryźć jej tonu.

— Jesteś zazdrosna? — zapytałem wprost.

— Nie. Mam o wiele lepsze nogi.

— A potrafisz napisać pozew?

— A czy ona potrafi zrobić lasanię?

— Owszem — odpowiedziałem. — Nawet przyniosła dzisiaj lasanie na spróbowanie do Gannetta. Wszyscy powiedzieli, że jest równie dobra jak twoje nogi.

Jenny skinęła głową:

— Pewno!

— Co ty na to? — spytałem.

— Czy Bella Landau płaci twoje komorne?

— Do diabła — wybuchnąłem — czemu nigdy nie możesz przestać, kiedy jestem górą?

— Bo — powiedziała moja kochająca żona — ty nigdy nie jesteś górą.

15

Ukończyliśmy w tym samym porządku.

To znaczy Erwin, Bella i ja byliśmy trojgiem najlepszych na ostatnim roku Szkoły Prawa. Zbliżała się godzina triumfu. Rozmowy w sprawie pracy. Oferty. Propozycje. Możliwości pracy, o jakich się nie śniło. Gdziekolwiek się obróciłem, widziałem transparent: „Pracuj u nas, Barrett”.

Ale mnie interesował tylko kolor zielony. To znaczy nie zwariowałem zupełnie, ale odrzucałem takie prestiżowe propozycje jak aplikowanie u sędziego czy posada państwowa w Ministerstwie Sprawiedliwości na korzyść dobrze płatnej pracy, która wykreśli parszywe słowo „kombinować” z naszego słownika.

Chociaż byłem trzeci, miałem dziką przewagę nad ubiegającymi się o najlepsze prawnicze posady. Byłem w pierwszej dziesiątce jedynym nie-Żydem. (A ci, co twierdzą, że to nie ma znaczenia — pieprzą). Boże, było kilkanaście firm, które lizałyby tyłek każdemu WASP-owi z ukończonym prawem. Zważcie więc sytuację niżej podpisanego: „Przegląd Prawniczy”, reprezentacja Ivy-League, Harvard, no i sami wiecie, co jeszcze. Tłumy walczyły, by zdobyć moje nazwisko z liczbą porządkową na swoje druki firmowe. Czulem się jak dziecko szczęścia i cieszyłem się każdą tego chwilą.

Otrzymałem ogromnie intrygującą ofertę od pewnej firmy z Los

Angeles. Ich przedstawiciel, pan (po co ryzykować proces)... powtarzał mi w kółko:

— Barrett, dziecino, u nas dostajemy to bez przerwy. W dzień i w noc. Mogą nam to dostarczać prosto do biura.

Nie interesowała nas Kalifornia, a mimo to chciałym wiedzieć, o czym mówił pan... Snuliśmy z Jenny na ten temat najbardziej obłądne przypuszczenia, ale jak na Los Angeles były prawdopodobnie nie dość obłądne. (Musiałem się wreszcie pozbyć pana..., powiedziałem mu więc, że mi w ogóle na „tym” nie zależy. Był załamany).

Wreszcie podjęliśmy decyzję, że zostaniemy na Wschodnim Wybrzeżu. Okazało się, że dostaliśmy wiele fantastycznych ofert z Bostonu, Nowego Jorku i Waszyngtonu. Jenny przez pewien czas uważała, że okręg Kolumbia * to brzmi ładnie (mógłbyś sobie obejrzeć na przyszłość Biały Dom, OI), ale ja skłaniałem się ku Nowemu Jorkowi. Wreszcie, z błogosławieństwem mojej żony, powiedziałem „tak” firmie „Jonas i Marsh”, kancelarii bardzo szacownej (Marsh był przedtem Prokuratorem Generalnym), o nastawieniu pro swobody obywatelskie. (Możesz jednocześnie zrobić coś dobrego i zarobić — powiedziała Jenny). Poza tym oni mnie naprawdę podbili swoim zachowaniem. Stary pan Jonas przyjechał aż do Bostonu, zaprosił nas na kolację do Pier Four i następnego dnia przysłał Jenny kwiaty.

Przez tydzień Jenny podśpiewywała refren, który brzmiał „Jonas, Marsh i Barrett”. Powiedziałem jej, że nie tak szybko, ale kazała mi się wypchać, bo na pewno w duchu nucę tę samą śpiewkę. Nie potrzebuję chyba mówić, że miała rację.

Chciałem jeszcze zaznaczyć, że „Jonas i Marsh” zaproponowali Oliwerowi Barrettowi IV jedenaście tysięcy osiemset dolarów rocznie, co było najwyższą pensją zaproponowaną jakimkolwiek absolwentowi naszego rocznika.

Widzicie więc, że byłem trzeci tylko w znaczeniu akademickim.

16

Zawiadomienie o zmianie adresu:

Od 1 lipca 1967 roku

Państwo Oliwerostwo Barrett IV

263 East 63 Street

Nowy Jork, N.J. 10021

* W okręgu Kolumbia leży Waszyngton.

— To brzmi strasznie nuworyszowsko — narzekła Jenny.

— Ależ my jesteśmy nuworysze — zapewniałem ją.

Do rozkosznego uczucia triumfu, jakie mnie ogarnęło, przyczynił się fakt, że miesięczna rata za mój samochód wynosiła niemal tyle, ile płaciliśmy za całe nasze mieszkanie w Cambridge. Od „Jonasa i Marsha” dzielił nas dziesięciominutowy spacer (lub raczej marsz; bardziej mi teraz odpowiadał krok marszowy), poza tym mieliśmy pod ręką wszystkie wielkie sklepy, jak Bonwita i tak dalej. Zażądałem natychmiast, żeby ta moja głupia żona otworzyła sobie u nich rachunki kredytowe i zaczęła rzucać forszą.

— Ale po co? Oliwer?

— Bo do cholery, Jenny, chcę być wykorzystywany!

Wstąpiłem do Nowojorskiego Klubu Harwardczyków, wprowadzony tam przez Raya Strattona, rocznik 64, który właśnie wskoczył w cywilne łachy po oddaniu jednego jedyne go strzału w Wietnamie. („Nie jestem wcale pewny, czy to był Wiet. Usłyszałem jakieś głosy, więc otworzyłem ogień w krzaki”). Grywaliśmy z Rayem w squash * co najmniej trzy razy w tygodniu, a ja postanowiłem w duszy, że za trzy lata zdobędę mistrzostwo klubu. Nie wiem, czy dlatego, że wyłynąłem znowu na terytorium harwardzkie, czy też dzięki pogłoskom o moich sukcesach w Szkole Prawa (nie przechwalałem się moimi zarobkami, daję słowo), w każdym razie moi „przyjaciele” odkryli mnie ponownie. Przeprowadziliśmy się w samym środku lata (musałem przejść bardzo intensywny kurs, żeby zdać egzamin adwokacki uprawniający do praktyki w stanie Nowy Jork), toteż z początku zapraszano nas na całe weekendy.

— Wypnij się na nich, Oliwer. Nie mam zamiaru marnować dwóch dni na gadanie o bzdurach z kupą głupich snobów.

— Dobrze, Jen, ale co ja mam im powiedzieć?

— Powiedz po prostu, że jestem w ciąży.

— A jesteś? — zapytałem.

— Nie, ale jeśli zostaniemy w domu na weekend, to może będę.

Mieliśmy już wybrane imię. To znaczy ja je wybrałem i sądzę, że wreszcie przekonałem do niego Jenny.

— Nie będziesz się śmiała? — zapytałem, kiedy po raz pierwszy poruszyliśmy ten temat. Była właśnie w kuchni (całe urządzenie w żółtej tonacji, łącznie z maszyną do zmywania naczyń).

— Z czego? — zapytała krając dalej pomidory.

* Squash — sport polegający na odbijaniu piłki rakiętą o ścianę w zamkniętej hali.

— Naprawdę ogromnie polubiłem imię Bozo.
— Mówisz serio?
— Tak. Słowo daję, leży mi to imię...
— Nazwałbyś nasze dziecko Bozo? — zapytała ponownie.
— Tak. Naprawdę. Słowo daję, Jenny, to jest imię dla superwyczy-
nowca.

— Bozo Barrett — próbowała je na długość.

— On będzie siłowiec nie z tego świata — ciągnąłem utwierdzając się w tym przekonaniu za każdym wypowiedzianym słowem. — Bozo Barrett, wielki harwardzki bocznny z mistrzowskiej drużyny Ivy-League.

— Tak... ale Oliwer, przypuśćmy... tylko przypuśćmy... że dziecko będzie umysłowo i fizycznie zapóźnione w rozwoju.

— Wykluczone, Jen, geny są zbyt dobre. Naprawdę. — Mówiłem z całym przekonaniem. Ten cały Bozo zaczął mi się teraz marzyć coraz częściej, kiedy rano maszerowałem do biura.

Przy kolacji podjąłem temat. Kupiliśmy fantastyczną duńską porcelanę.

— Bozo będzie idealnie rozwiniętym siłowcem — powiedziałem. — Jeżeli będzie miał twoje ręce, możemy go przesunąć do obrony.

Uśmiechała się tylko do mnie, zastanawiając się pewno, jak by mnie tu zamknąć i zniszczyć tę idylliczną wizję. Ale nie znalazłszy dostatecznie druzgocących argumentów, pokrajała ciasto, dała mi kawałek i wysłuchiwała mnie do końca.

— Pomyśl tylko, Jenny — mówiłem mimo pełnych ust — dwieście czterdzieści funtów siłowej doskonałości.

— Dwieście czterdzieści funtów? — powiedziała. — Nasze geny nie gwarantują, że to będzie dwieście czterdzieści funtów.

— Będziemy go karmić, Jen. Proteiny, specjalne odżywki, wszystkie dodatki do jedzenia.

— No, tak. A jeśli nie będzie chciał jeść?

— Będzie jadł, do jasnej cholery! — wrzasnąłem, czując, że już mnie trochę wnerwia ten dzieciak, który wkrótce zasiądzie za naszym stołem i odmówi współdziałania w realizowaniu moich planów co do jego sportowych osiągnięć. — Będzie jadł albo mu mordę skuje.

W tym momencie Jenny spojrzała mi prosto w oczy i uśmiechnęła się.

— Jeśli będzie ważył dwieście czterdzieści funtów, to nie skujesz.

— Och — speszyłem się na chwilę, ale szybko się połapałem. — Przecież nie od razu będzie tyle ważył.

— Tak, tak — mówiła Jenny potrząsając ostrzegawczo łyżką. — Ale jak już będzie, Snobku, to bierz nogi za pas! — Śmiała się jak szalona.

To naprawdę komiczne, ale kiedy tak się śmiała, nagle oczyma wyobraźni zobaczyłem, jak ważący dwieście czterdzieści funtów dzieciak w pieluchach goni mnie po Parku Centralnym wrzeszcząc: „Masz być grzeczniejszy dla mojej matki, Snobku!” Rany, chyba Jenny nie dopuści, by mnie Bozo zatłukł.

17

Wcale nie tak łatwo zrobić dziecko.

Jest w tym po prostu jakaś ironia: faceci, którzy przez pierwsze lata swojego życia seksualnego starali się usilnie, żeby nie zrobić dziewczynie dziecka (a kiedy ja zaczynałem, używało się jeszcze prezerwatyw), potem zaczynają myśleć wprost odwrotnie i w obsesyjny sposób pragną właśnie począć, a nie uniknąć poczęcia.

Tak, to się może stać obsesją. I może obedrzeć cudowny aspekt szczęśliwego małżeńskiego pożycia z wszelkiej spontaniczności. Chodzi mi o to, że człowiek musi wtedy programować swoje myślenie (programować — niefortunne słowo, kojarzy się z maszyną) — programować swoje myślenie o akcie miłosnym w zależności od reguł, kalendarza, strategii (czy nie byłoby lepiej jutro rano, OI?) — i że to może być źródłem przykrości, zniechęcenia i wreszcie przerażenia.

Bo kiedy stwierdzisz, że twoja amatorska wiedza i (jak sądzisz) normalne, zdrowe wysiłki nie dają żadnych rezultatów w zakresie pomnażania rodzaju ludzkiego, zaczynają ci przychodzić do głowy najkoszmarniejsze myśli.

— Rozumiesz na pewno, że bezpłodność nie ma nic wspólnego z potencją — tłumaczył doktor Mortimer Sheppard podczas naszej pierwszej wizyty, kiedy zdecydowaliśmy wreszcie z Jenny, że należy zwrócić się do specjalisty.

— On rozumie, panie doktorze — odpowiedziała za mnie Jenny, która wiedziała, choć nigdy o tym nie mówiłem, że sama myśl o bezpłodności — nawet o ewentualnej bezpłodności — to dla mnie koniec świata. Czy w głosie jej nie kryła się przypadkiem nadzieja, że jeśli któreś z nas ma jakiś feler, to ona, nie ja?

Ale doktor tłumaczył wszystko dokładnie, mówił o najgorszym, a potem dodał, że istnieje w dalszym ciągu poważne prawdopodobieństwo, że jesteśmy obydwój w porządku i że wkrótce zostaniemy dumnymi rodzicami. Ale, rzecz jasna, musimy przejść szereg badań. Dokładnych. (Nie chcę tu przytaczać niemiłych szczegółów tego rodzaju gruntownych badań).

Poszliśmy na badania w poniedziałek. Jenny rano, ja po pracy (byłem całkowicie pochłonięty sprawami zawodowymi). Doktor Shepard zadzwonił do Jenny jeszcze raz w piątek; powiedział, że pielęgniarka coś tam pokręciła i że chciałby ponownie sprawdzić pewne rzeczy. Kiedy Jenny mi o tym powiedziała, zacząłem przypuszczać, że on na pewno znalazł... ten feler u niej. Sądzę, że ona przypuszczała to samo. Zastanawianie się pomyłką pielęgniarki to dość przejrzysta gra.

Kiedy doktor Sheppard zadzwonił do mnie, do biura, byłem już niemal pewny. Czy mógłbym wpaść do niego po drodze do domu? Kiedy usłyszałem, że nie ma to być rozmowa we trójkę (rozmawiałem z panią Barrett dziś przed południem), utwierdziłem się w swoich podejrzeniach: Jenny nie będzie mogła mieć dzieci. Ale przecież sprawa nie musi być całkowicie przegrana. Oliwer, pamiętaj, Sheppard mówił, że istnieją takie możliwości jak chirurgiczne zabiegi korekcyjne i tak dalej. Nie mogłem się jednak skupić i w tej sytuacji nie wyobrażałem sobie czekania do piątej. Zadzwoniłem jeszcze raz do Shepparda i zapytałem, czy może mnie przyjąć wcześniej. Zgodził się.

— Czy wie pan już, czyja to wina? — zapytałem prosto z mostu.

— Nie używałbym tu słowa „wina” — odparł.

— No dobrze, czy pan już wie, które z nas ma jakąś nieprawidłowość?

— Tak. Jenny.

Byłem na to mniej więcej przygotowany, ale stanowczość tego stwierdzenia trochę mnie ogłuszyła. Doktor nie mówił nic, sądziłem więc, że spodziewa się ode mnie jakiegoś oświadczenia.

— No, cóż, będziemy adoptować dzieci. To znaczy, ważne jest przecież to, że się kochamy, prawda?

I wtedy mi powiedział.

— Oliwer, sprawa jest o wiele poważniejsza. Jenny jest bardzo chora.

— Czy mógłby pan sprecyzować to „bardzo chora”?

— Jest umierająca.

— To niemożliwe — powiedziałem.

I czekałem, by doktor mi powiedział, że to wszystko jakaś ponura brednia.

— To prawda, Oliwer — powiedział. — Jest mi niezmiernie przykro, że muszę ci to mówić.

Powiedziałem kategorycznie, że z pewnością popełnił jakiś błąd — może ta jego głupia pielęgniarka znowu coś pokręciła i przyniosła mu cudze zdjęcie rentgenowskie albo coś takiego. Odpowiedział z największym współczuciem, że badanie krwi Jenny robiono trzykrotnie. Nie ma

absolutnie żadnych wątpliwości co do diagnozy. Będzie musiał, rzecz jasna, skierować nas — mnie i Jenny — do hematologa. Proponowałby...

Skinąłem ręką, żeby przestał. Potrzebna mi była chwila ciszy. Po prostu żeby to we mnie zapadło. Potem przyszła mi do głowy myśl.

— Co pan powiedział Jenny, doktorze?

— Że jesteście obydwójce w porządku.

— Uwierzyła?

— Chyba tak.

— Kiedy będziemy musieli jej to powiedzieć?

— W obecnej sytuacji decyzja należy do ciebie.

Do mnie! Chryste! W obecnej sytuacji nie byłem zdolny oddychać.

Doktor wytłumaczył mi, że leczenie, jakie mogą stosować przy tej formie białaczki, jaką ma Jenny, polega tylko na łagodzeniu objawów — może uśmierzyć ból, może opóźnić postępy choroby, ale jej nie może zahamować. Więc w tej chwili zależy to ode mnie. Oni mogą wstrzymać się jeszcze jakiś czas z kuracją.

Ale w tej chwili potrafiłem naprawdę myśleć tylko o tym, jakie to jest wszystko parszywe.

— Ona ma tylko dwadzieścia cztery lata! — chyba krzychałem.

Doktor skinął bardzo cierpliwie głową, znał dobrze wiek Jenny, ale rozumiał również, co to dla mnie za koszmar. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że nie mogę wiecznie siedzieć w gabinecie tego faceta. Zapytałem go, co robić. To znaczy co ja powinienem robić. Powiedział, że bym się w miarę możliwości zachowywał normalnie, jak długo się da. Podziękowałem mu i wyszedłem.

Normalnie! Normalnie!

18

Zacząłem rozmyślać o Bogu.

To znaczy do moich najbardziej osobistych myśli zaczęło się wkradać pojęcie Istoty Najwyższej. Nie dlatego, że bym ją chciał rąbnąć, zniszczyć za to, co chce wyrządzić mnie... to znaczy Jenny. Nie, wręcz przeciwnie. Na przykład kiedy się budziłem rano i Jenny była. Jeszcze była. Przepraszam, trochę mi głupio, ale miałem nadzieję, że istnieje jakiś Bóg, któremu mógłbym powiedzieć: dziękuję. Dziękuję ci, żeś mi pozwolił obudzić się i zobaczyć Jennifer.

Próbowałem ze wszystkich sił zachowywać się normalnie, więc, rzecz jasna, pozwalałem jej robić śniadanie i tak dalej.

— Spotkasz się dziś ze Strattonem? — spytała, gdy jadłem drugi talerz witaminizowanych płatków kukurydzianych.

— Z kim?

— Z Raymondem Strattonem, absolwentem 64 roku — odparła — Twoim najlepszym przyjacielem. Współlokatorem, póki ja nie nastąpiam.

— Tak. Mieliliśmy zagrać w squash. Ale chyba to odwołam.

— Nie chrzań.

— Co, Jen?

— Żebyś mi nic nie odwoływał! Nie potrzebuję męża ciamajdy!

— Dobrze — zgodziłem się — ale zjedźmy kolację na mieście.

— Dlaczego?

— Co to znaczy „dlaczego”? — wrzasnąłem zgrywając się na moją normalną wściekłość. — Czy nie mogę, jak mi przyjdzie ochota, zaprosić mojej żony na kolację?

— Kto to jest, Oliwer? Jak się nazywa? — pytała Jenny.

— Co?

— Słuchaj — tłumaczyła — jeśli w dzień powszedni zapraszasz żonę na kolację, to na pewno zaliczasz jakąś babkę.

— Jennifer — ryknąłem tym razem naprawdę urażony. — Nie pozwolę na takie gadanie przy moim stole!

— Wobec tego nie chrzań, tylko przychodź na kolację do domu, dobrze?

— Dobrze.

I mówiłem temu jakiemuś Bogu, kimkolwiek jest i gdziekolwiek może być, że chętnie się zgodzę na ten stan rzeczy. Głupstwo ta męka, Panie Boże, głupstwo, że ja wiem, póki Jennifer nie wie. Czy słyszysz mnie, Panie Boże? Powiedz, ile za to trzeba zapłacić!

— Oliwer — powiedział pan Jonas.

Poprosił mnie do swego gabinetu.

— Słucham pana.

— Czy znasz sprawę Becka?

Pewno, że znałem. Robert L. Beck, fotograf magazynu „Life”, policja przykopała mu w bebech, kiedy próbował robić zdjęcia podczas zamieszek w Chicago. Jonas uważał ten proces za jeden z kluczowych dla firmy.

— Wiem, że został zmasakrowany przez policję — powiedziałem beztrzesko (cha, cha, cha!).

— Chciałbym, żebyś się zajął tą sprawą, Oliwer.

— Ja sam?

— Możesz sobie dobrać kogoś z młodszych kolegów.

Młodszych kolegów? Byłem najmłodszy z całej kancelarii. Ale zrozumiałem, o co chodzi: Oliwer, pomimo twego wieku, znalazłeś się pomiędzy starszyzną. Jesteś jednym z nas, Oliwer.

— Dziękuję panu — powiedziałem.

— Kiedy będziesz mógł jechać do Chicago? — zapytał.

Postanowiłem uprzednio, że nie powiem nikomu, że ten ciężar będę niósł sam. Zalałem więc coś staremu Jonasowi, już nie pamiętam co, że nie bardzo teraz chciałbym ruszać się z Nowego Jorku. I mam nadzieję, że to zrozumie. Wiem jednak, że moja reakcja sprawiła mu przykrość, boć przecież zrobił niewątpliwie piękny gest. O, Boże, kiedy pan się dowie, jaki był prawdziwy powód!

Paradoks: Oliwer Barrett IV wychodzi z biura wcześniej, a jednak idzie do domu wolniej. Jak to można wytłumaczyć?

Przyzwyczałem się robić w wyobraźni zakupy z wystaw sklepów na Piątej Alei, kiedy oglądałem cudowne, idiotycznie ekstrawaganckie rzeczy, które kupiłbym Jennifer, gdyby nie ta fikcja... normalności.

Tak, bałem się wracać do domu, to pewne. Bo teraz, w kilka tygodni po tym, jak poznałem prawdę, Jenny zaczęła chudnąć. To znaczy troszeczkę, ona sama pewno tego nie zauważyła. Ale ja, który wiedziałem, zauważyłem.

Robiłem również w wyobraźni zakupy stojąc przed wystawami linii lotniczych: Brazylia, Wyspy Karaibskie, Hawaje („Rzuć to wszystko — leć w słońce”) i tak dalej. Tego właśnie popołudnia TWA * reklamowały Europę w martwym sezonie: Londyn po zakupy. Paryż dla kochanków...

„A co z moim stypendium? Co z Paryżem, którego nigdy w całym moim zakichanym życiu nie oglądałem?”

„A co z naszym małżeństwem?”

„Kto mówił o małżeństwie?”

„Ja. Mówię teraz.”

„Chcesz się ze mną ożenić?”

„Tak.”

„Dlaczego?”

Tak fantastycznie nadawałem się na klienta firm udzielających kredytu, że miałem już w kieszeni legitymację Diners Club **. Podpis

* TWA — Trans World Airlines — jedna z największych amerykańskich linii lotniczych.

** Diners Club — legitymacja tego klubu upoważnia do zaciągnięcia na kredyt klubu pożyczki. Umożliwia to bezgotówkowe zakupy, jądanie w restauracjach na kredyt, a nawet duże wydatki, jak na przykład zakup biletów lotniczych na dalekie trasy.

na kropkowanej linii i stałem się dumnym posiadaczem dwóch biletów (ni mniej ni więcej tylko pierwszej klasy) do Miasta Kochanków.

Jenny była szarozielona, kiedy wszedłem do domu, ale liczyłem, że mój fantastyczny pomysł zaróżowi troszeczkę te policzki.

— Zgaduj-zgadula, pani Barrett — zacząłem.

— Wyleciałeś z pracy — powiedziała moja optymistka.

— Nie. Lecę zupełnie gdzie indziej — odparłem i wyciągnąłem bilety. — W górę i w świat. Jutro wieczór wyjeżdżamy do Paryża.

— Pieprzysz, Oliwer — powiedziała. Ale cicho, bez tej swojej agresywnej pozy. Było to jak pieszczota. — Pieprzysz, Oliwer.

— Czy bytabyś łaskawa sprecyzować dokładniej to „pieprzysz”?

— Słuchaj, Ollie — powiedziała cicho. — Nie w ten sposób będziemy to załatwiać.

— Co? — spytałem.

— Nie chcę Paryża. Niepotrzebny mi jest Paryż. Potrzebny mi jesteś ty...

— Mnie już masz, kochanie — przerwałem jej z fałszywą wesołością.

— I czas — ciągnęła — którego mi dać nie możesz.

Teraz popatrzyłem jej w oczy. Były niewypowiedzianie smutne. Ale smutne w ten sposób, który tylko ja rozumiałem. Mówiły, że jej żal. To znaczy, że jej żal mnie.

Staliśmy tak obejmując się nawzajem, bez słowa. Jeśli jedno z nas się rozpłaczę, płaczą obydwoje, błagam. Ale najlepiej niech nie płacze żadne z nas.

Potem Jenny wytłumaczyła mi, jak to czuła się „całkiem do chrzanu” i poszła jeszcze raz do doktora Shepparda nie po radę, ale na konfrontację; niech mi pan powie, doktorze, co mi jest, do cholery. I on powiedział.

Czułem się dziwnie winny, że nie ode mnie się tego dowiedziała. Odgadła to i rozmyślnie rzuciła głupią uwagę.

— On kończył Yale *, Ollie.

— Kto, Jenny?

— Ackerman. Hematolog. Yale od stóp do głów. I college, i Szkoła Medyczna.

— Och — widziałem, że stara się ująć nieco powagi temu koszmalowi, który nas czeka.

— A umie czytać i pisać? — spytałem.

— Trzeba by sprawdzić — oświadczyła pani Oliwerowa Barrett,

* Dwa najstarsze uniwersytety amerykańskie. Harvard i Yale, mają do siebie stosunek życzliwie konkurencyjny — student Yale uważa się za coś lepszego od studenta Harvardu i na odwrót.

absolwentka Radcliffe, rocznik 64 — w każdym razie wiem jedno: że umie mówić. A ja chciałam mówić.

— Dobrze, idziemy do tego doktora z Yale.

— Dobrze — powiedziała.

19

Teraz przynajmniej nie bałem się wracać do domu. Nie przerażała mnie już konieczność „normalnego zachowania”. Znowu dzieliliśmy ze sobą wszystko, choćby to była nawet straszliwa pewność, że nasze wspólne dni są policzone.

Były sprawy, które musieliśmy omówić, sprawy, których na ogół nie poruszają małżonkowie w wieku lat dwudziestu czterech.

— Liczę na to, że będziesz silny, jak na sportowca przystało.

— Będę, będę — odpowiadałem zastanawiając się, czy ta wszytkowiedząca Jennifer zdaje sobie sprawę, jak śmiertelnie się ten wielki sportowiec boi.

— Ze względu na Fila — ciągnęła. — Mimo wszystko jemu będzie najciężej, przecież ty bądź co bądź zostaniesz wesotym wdowcem.

— Nie wesotym — przerwałem.

— Będziesz wesoty, do cholery. Chcę, żebyś był wesoty, dobrze?

— Dobrze.

Było to chyba w miesiąc później, zaraz po kolacji. Jenny w dalszym ciągu gotowała — uparła się, że będzie gotować, i tyle. Ubłagałem ją wreszcie, żeby mi pozwoliła zmywać (ale ciągle się rzucała, że to „nie-męska robota”). Chowałem talerze, gdy ona grała Szopena. Usłyszałem, jak przerywa w środku Preludium, i natychmiast wszedłem do pokoju. Jenny po prostu siedziała.

— No jak, w porządku, Jen? — miałem poczucie względności tego pytania. Odpowiedziała mi pytaniem.

— Czy jesteś na tyle bogaty, żeby mi zafundować taksówkę?

— Pewno — odpowiedziałem. — A dokąd chcesz jechać?

— Chyba do szpitala — odparła.

W chaosie i zamęciu, jaki teraz nastąpił, zrozumiałem jednak, że to koniec. Jenny wyjdzie teraz z naszego mieszkania i nigdy do niego nie wróci. Siedziała bez ruchu, podczas gdy ja pakowałem pośpiesznie jakieś jej drobiazgi, zastanawiając się, o czym ona myśli. O naszym mieszkaniu, to znaczy... co by chciała z niego zapamiętać...

Nic. Siedziała patrząc na nic.

— Jen — zawołałem. — Może chciałabyś wziąć coś jeszcze?

— Nie — pokręciła głową, a potem dodała, jakby po namyśle: — Ciebie.

Trudno było o taksówkę, jak zwykle wieczorem i w ogóle. Portier gwizdał i machał rękami jak rozszalały sędzia hokejowy. Jenny tylko wspierała się na mnie, a ja w cichości ducha pragnąłem, żeby nie było tej taksówki, żeby ona tak się na mnie wspierała w nieskończoność. Ale wreszcie taksówka przyjechała. A kierowca był — takie już nasze szczęście — wesolek. Kiedy usłyszał, że ma jechać do szpitala „Góra Synaj”, i to na gazie, zaczął normalną gadkę.

— Nic się nie bójcie, dzieci, jesteście w doświadczonych rękach. My z bocianem od lat już załatwiamy te sprawy.

Na tylnym siedzeniu Jenny tuliła się do mnie. Całowałem jej włosy.

— To wasze pierwsze? — pytał wesolek.

Jenny chyba wyczuła, że jeszcze chwila i ryknę na tego faceta, więc szepnęła:

— Bądź miły, Oł, on stara się być dla nas miły.

— Tak, proszę pana — odpowiedziałem. — To pierwsze i moja żona nie czuje się najlepiej, więc może przeskoczmy parę świateł.

Dowiózł nas do szpitala na pełnym gazie. Był bardzo uprzejmy, wyszedł, żeby otworzyć drzwiczki i w ogóle. Nim ruszył, życzył nam wszystkiego najlepszego i dużo szczęścia. Jenny podziękowała mu.

Wydawało mi się, że się chwieje na nogach, więc chciałem ją wnieść, ale się uparła:

— Nie przez ten próg, kochanie. — Weszliśmy więc, a ona przebrnęła jeszcze przez cały ten cholerny koszmar rejestracji.

— Czy państwo mają Ubezpieczenie Niebieskiej Tarczy * albo jakieś inne?

— Nie.

(Któż by myślał o takich bzdurach? Byliśmy zajęci kupowaniem garnków).

Przyjazd Jenny nie był, rzecz jasna, niespodziewany. Oczekiwano jej przecież, a teraz czuwał nad wszystkim doktor Bernard Ackerman, który,

* Nazwa jednego z towarzystw ubezpieczeniowych.

jak przepowiedziała Jenny, okazał się porządnym facetem, chociaż z krwi i kości yaleowcem.

— Dostaje krwinki białe i płytki — tłumaczył mi. — W tej chwili tego jej najbardziej potrzeba. Jeszcze mamy czas na leki cytostatyczne.

— Co to jest? — spytałem.

— To leczenie, które opóźnia niszczenie komórek, ale może dawać przykre skutki uboczne, o czym zresztą Jenny wie.

— Niech pan posłucha, panie doktorze — wiem, że to były zbędne pouczenia — o wszystkim decyduje Jenny. Cokolwiek powie, tak ma być. Tylko wy zróbcie, co można, żeby jej nie bolało.

— Może pan być tego pewien — odparł.

— Koszty nieważne, doktorze — zdaje mi się, że podnosiłem głos.

— To może trwać tygodnie lub miesiące.

— Chromolę koszty. — Był bardzo wyrozumiały. Bo przecież, tak właściwie, to krzychałem na niego.

— Chciałem tylko powiedzieć — tłumaczył Ackerman — że nie można przewidzieć, jak długo, czy też jak krótko, będzie to trwać.

— Niech pan pamięta, doktorze — rozkazywałem. — Niech pan pamięta. Chcę, żeby miała wszystko, co najlepsze. Osobny pokój. Prywatne pielęgniarki. Wszystko. Proszę pana. Mam pieniądze.

20

Wykluczone, by można było dojechać ze Wschodniej Sześćdziesiątej Trzeciej Ulicy na Manhattanie do Bostonu w stanie Massachusetts szybciej niż w trzy godziny i dwadzieścia minut. Wierzcie mi, zrobiłem absolutny rekord tego odcinka i jestem pewny, że żaden samochód, zagraniczny czy amerykański, nawet z kierowcą klasy Grahama Hilla, nie zrobił tego szybciej. Na autostradzie Massachusetts moje MG miało sto pięć mil na szybkościomierzu.

Mam golarkę elektryczną na baterie i słowo daję, ogoliłem się starannie i zmieniłem koszulę w samochodzie, nim wszedłem do sanktuarium na State Street. Nawet o ósmej rano kilku niezmiernie szacownych bostońskich dzentelmentów siedziało czekając na widzenie się z Oliwerem Barrettem III. Jego sekretarka, która mnie znała, nie mrugnęła nawet podając moje nazwisko przez telefon wewnętrzny.

Ojciec nie powiedział: „Prosić”.

Zamiast tego drzwi się otwały i ukazał się we własnej osobie. Powiedział:

— Oliwer!

Ponieważ zwracałem teraz uwagę na zmiany w wyglądzie zewnętrznym, zauważyłem, że był dość blady i że włosy mu posiwiały (a może przerzedziły się) przez te trzy lata.

— Wejść, synu — powiedziały. Nie złapałem tonacji tych słów. Po prostu wszedłem do gabinetu.

Usiadłem w „fotelu dla klientów”.

Patrzyliśmy na siebie, potem wzrok nasz przesunął się na inne przedmioty w pokoju. Ja patrzyłem na różne rzeczy na jego biurku: nożyczki w skórzanej pochewce, nóż do otwierania listów, fotografia matki sprzed lat. Moja fotografia (rozdanie świadectw w Exeter).

— Jak ci idzie, synu?

— Dobrze, ojciec — odpowiedziałem.

— A jak Jennifer?

Zamiast mu kłamać, nie podjąłem tego tematu — choć przecież to właśnie był najważniejszy temat — i wyrzuciłem z siebie powód mojego nagłego przybycia tutaj.

— Ojciec, muszę pożyczyć pięć tysięcy dolarów. Z bardzo ważnych przyczyn.

Popatrzył na mnie. Tak jakby kiwnął głową.

— Więc? — spytał.

— Słucham?

— Czy mogę znać te przyczyny?

— Nie mogę ci powiedzieć, ojciec. Pożycz mi te pieniądze. Proszę cię bardzo!

Miałem uczucie — o ile w ogóle „uczucie” to właściwe słowo w stosunkach z Oliwerem Barrettem III — że chciał mi dać te pieniądze. Wyczułem również, że nie myślał mi robić trudności. Ale on chciał... rozmawiać.

— Czy ci nie płacą u „Jonasa i Marsha”? — spytał.

— Owszem, płacą.

Miałem ochotę powiedzieć mu ile, po prostu żeby wiedział o moim rekordzie rocznika, ale potem pomyślałem, że jeśli wie, gdzie pracuję, to wie również, ile zarabiam.

— A czy ona nie uczy?

No cóż, nie wszystko wie.

— Nie mów o niej „ona”!

— Czy Jennifer nie uczy? — spytał uprzejmie.

— Proszę cię, ojciec, zostawmy ją. To jest moja sprawa osobista. Bardzo ważna sprawa osobista.

— Czyżbyś wpakował jakąś dziewczynę w kabałę? — zapytał, ale w jego tonie nie było potępienia.

— Tak — powiedziałem. — Tak, ojcze. Daj mi tę forszę. Bardzo cię proszę.

Sięgnął do szuflady biurka i wyciągnął książeczkę czekową oprawną w taki sam kurdyban jak rączka noża do listów i pochewka nożyczek. Otwierał ją powoli. Nie chciał mnie dręczyć, nie, ale myślę, że chciał zyskać na czasie. Znaleźć coś do powiedzenia. Coś bez kolców.

Skończył wypisywać czek, wyrwał go z książeczki i wyciągnął ku mnie. Być może o jakiś ułamek sekundy za późno zdałem sobie sprawę, że powinienem wyciągnąć dłoń w kierunku jego ręki. Speszyło go to (tak mi się zdaje), cofnął rękę i położył czek na krawędzi biurka. Spojrzał na mnie i skinął głową. Wyraz jego twarzy mówił: „Proszę cię, synu, bierz”. Ale tak naprawdę, to tylko skinął głową.

I ja też właściwie nie chciałem wyjść, tylko nie potrafiłem wymyślić czegoś neutralnego do powiedzenia. A nie mogliśmy tak siedzieć, chcąc przecież rozmawiać, a jednak nie potrafiąc patrzeć sobie w oczy.

Pochyliłem się i wziąłem czek. Tak, wystawiony był na pięć tysięcy dolarów, podpisany: Oliwer Barret III. Już wysechł. Złożyłem go równo i wsunąłem do kieszeni koszuli, potem wstałem i ruszyłem ciężko ku drzwiom. Powinienem być przynajmniej powiedzieć coś w tym sensie, że przeze mnie jacyś bardzo ważni dygnitarze bostońscy (może nawet z Waszyngtonu) siedzą i czekają w jego poczekalni, a jednak gdybyśmy mieli sobie coś więcej do powiedzenia, mógłbym przecież poczekać tu gdzieś, pod biurem, ojcze, a ty odwołałbyś swoje obiednie spotkanie... i...

Stałem tak w uchylonych drzwiach i zbierałem odwagę, by podnieść na niego oczy i powiedzieć:

— Dziękuję, ojcze.

21

Zadanie powiadomienia o wszystkim Fila Cavilleri spadło na mnie. Na kogóż by innego miało spaść? Nie załamał się, jak się tego obawiałem, tylko spokojnie zamknął dom w Cranston i przyjechał, by zamieszkać u nas. Każdy na swój własny sposób mociuje się z bólem. Filip sprzątał mieszkanie, mył, szorował, pucował. Nie bardzo rozumiem, jak przebiegał jego proces myślowy, ale, na litość boską, niech szoruje!

A może jemu się marzy, że Jenny wróci do domu?

Marzy się, mój Boże? Biedaczysko! Dlatego tak szoruje. On po prostu nie przyjmuje faktów do wiadomości. Nie przyzna się do tego przede mną, rzecz jasna, ale ja wiem, że tak jest.

Bo ze mną jest to samo.

Kiedy Jenny poszła do szpitala, zadzwoniłem do starego Jonasa i powiedziałem mu, dlaczego nie mogę przychodzić do pracy. Udawałem, że muszę szybko kończyć tę rozmowę, bo wiedziałem, że jest wstrząśnięty i chce mi powiedzieć coś, czego w żaden sposób nie może wyrazić. Odtąd dni dzieliły się na godziny odwiedzin i na wszystko inne. A wszystko inne to było oczywiście nic. Jadłem bez świadomości głodu, patrzyłem, jak Fil sprząta mieszkanie (znowu!), i nie sypiałem nawet po tych proszkach, które mi dał Ackerman.

Raz słyszałem, jak Fil mruczy do siebie:

— Nie wytrzymam tego dłużej. — Był obok, w kuchni, zmywał naczynia (ręcznie). Nie odpowiedziałem mu, ale pomyślałem sobie: ja wytrzymam. Kimkolwiek jesteś, który tam, w górze, kierujesz tym całym interesem, panie Istoto Najwyższa, zachowaj wszystko tak jak jest. Mogę to znieść bez końca. Bo Jenny to Jenny.

Tego wieczora wyrzuciła mnie ze swego pokoju. Chciała porozmawiać ze swoim ojcem „jak mężczyzna z mężczyzną”.

— To jest spotkanie zastrzeżone wyłącznie dla Amerykanów włoskiego pochodzenia — powiedziała biała jak jej poduszka — więc spływaj, Barrett.

— Dobrze.

— Ale nie za daleko — upomniała, kiedy doszedłem do drzwi.

Usiadłem w hallu i czekałem. Wkrótce ukazał się Fil.

— Powiada, żebyś tam do niej poszedł — rzekł ochryłym szeptem, jakby coś się wewnątrz niego zapadło. — Idę kupić papierosy.

— Zamknij te głupie drzwi — rozkazała, kiedy wszedłem do pokoju. Usłuchałem, zamknąłem cicho drzwi, a kiedy wracałem, by usiąść przy jej łóżku, zobaczyłem ją tak jakoś pełniej. To znaczy te wszystkie rurki biegnące od jej prawego przedramienia, które skrywała pod prześcierałem. Zawsze lubiłem siadywać przy niej bardzo blisko i tylko patrzeć w jej twarz, w której, chociaż tak była blada, wciąż świeciły te oczyska.

Usiadłem więc bardzo blisko.

— To nie boli, Ollie, naprawdę — powiedziała. — To tak jakby się spadało ze skały w zwolnionym tempie, wiesz?

Coś poruszyło mi się w brzuchu. Coś bezkształtnego, co zaraz podjedzie mi do gardła i zmusi mnie do płaczu. Ale ja się nie dam. Nigdy nie płakałem. Ja jestem twardy facet. Żadnych łez.

Ale jeśli ma nie być łez, to nie dam rady otworzyć ust. Mogę tylko przytaknąć jej głową. Więc przytaknąłem głową.

— Pieprzysz — powiedziała.

— Co? — było to bardziej chrząknięcie niż słowo.

— Nie masz pojęcia, co to znaczy spadać ze skały. W całym twoim zakichanym życiu nigdy nie spadłeś ze skały.

— Owszem — w tym momencie wróciła mi mowa. — Wtedy, kiedy ciebie poznałem.

— Tak — przyznała, a na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech. — „Och, cóż to było za spадanie”. Kto to powiedział?

— Nie wiem — odparłem. — Szekspir!

— Tak, ale kto? — mówiła jakby ze skargą. — Nawet nie pamiętam, w jakiej sztuce. Studiowałam na Radcliffe, powinnam wiedzieć takie rzeczy. Kiedyś znałam cały spis Kuchela *

— Wielkie rzeczy!

— Pewno, że wielkie — zmarszczyła czoło i spytała: — Jaki numer ma Koncert Fortepianowy c-moll?

— Sprawdź — powiedziałem.

Wiedziałem, gdzie sprawdzić. Na półce przy fortepianie w naszym mieszkaniu. Sprawdź i zaraz rano jej powiem.

— Przecież dawniej wiedziałam — skarżyła się Jenny. — Przecież wiedziałam.

— Słuchaj — powiedziałem tonem Bogarta — czy chcesz rozmawiać o muzyce?

— Czy wolisz rozmawiać o pogrzebach?

— Nie — teraz żałowałem, że jej przerwałem.

— Mówiłam o tym z Filem. Słuchasz, Ollie?

Odwrociłem twarz.

— Tak, słucham, Jenny.

— Powiedziałam, że może być katolicki pogrzeb i że ty się zgodzisz.

Dobrze?

— Dobrze — odparłem.

— Dobrze — powiedziała.

Poczułem pewną ulgę, bo teraz każdy temat będzie już lepszy.

Ale myliłem się.

— Słuchaj, Oliwer — Jenny mówiła gniewnie, chociaż cicho. — Oliwer, dosyć tego.

— Czego?

— Chodzi mi o tę twoją minę winowajcy, przecież widzę.

Naprawdę starałem się zmienić wyraz twarzy, ale mięśnie mi dosłownie stężyły.

— To nie jest niczyja wina, głuptasie — ciągnęła — więc proszę cię, przestań sobie ciągle robić wyrzuty.

* Spis dzieł Mozarta dekonany przez Kuchela.

Chciałem dalej na nią patrzeć, bo nie mogłem po prostu oderwać od niej wzroku, ale jednak musiałem spuścić oczy. Tak mi było wstyd, że nawet teraz Jenny czyta we mnie jak w książce.

— Słuchaj, Ollie, to jest jedyna moja prośba, do cholery, o wszystko inne jestem spokojna.

To coś wewnątrz mnie znowu się poruszyło, więc bałem się nawet wymówić słowo „dobrze”. Po prostu patrzyłem na Jenny bez słowa.

— Chromol ten Paryż — powiedziała nagle.

— Co?

— Chromol ten Paryż i muzykę, i te wszystkie brednie, co sobie wyobrażasz, że mi ukradłeś. Nic dla mnie nie znaczą, idioto. Możesz w to uwierzyć?

— Nie — powiedziałem szczerze.

— Wobec tego wynoś się stąd! Niepotrzebny mi jesteś przy moim tożu śmierci.

Mówiła serio. Wiedziałem, kiedy Jenny mówi serio. Więc swoje pozostanie okupiłem kłamstwem:

— Wierzę ci.

— To lepiej — powiedziała. — A teraz czy możesz coś dla mnie zrobić? — Gdzieś w moim wnętrzu rozrastało się to coś strasznego, co chciało mnie zmusić do płaczu. Ale się oparłem. Nie będę płakał. Dam tylko Jenny do zrozumienia, skinieniem głowy, że będę bardzo szczęśliwy robiąc coś dla niej.

— Czy mógłbyś mnie mocno przytulić — poprosiła.

Położyłem dłoń na jej przedramieniu — Boże, jakie chude — i uściśnąłem je lekko.

— Nie, Oliwer. Przytul mnie tak naprawdę. Połóż się tu koło mnie.

Bardzo, bardzo uważałem — na te rurki i wszystko — kiedy kładłem się przy niej na tóżku, by objąć ją ramionami.

— Dziękuję, Ollie.

To były jej ostatnie słowa.

22

Kiedy wszedłem, Fil Cavilleri palił w solarium n-tego papierosa.

— Fil — powiedziałem cicho.

— Tak? — podniósł wzrok. Sądzę, że już wiedział.

Potrzebował chyba jakiegoś fizycznego pokrzepienia. Podszedłem

i położyłem mu rękę na ramieniu. Bałem się, że może się rozplątać. Byłem całkowicie pewny, że ja nie. Nie mogłem. To znaczy ja już nie byłem w stanie.

Położył mi dłoń na ramieniu.

— Wolałbym... — zamruczał — wolałbym... — przerwał, a ja czekałem. Przecież nie było do czego się spieszyć. — Wolałbym nie obiecywać Jenny, że będę silny... ze względu na ciebie.

I żeby spełnić swoją obietnicę, delikatnie poklepał mnie po ręku.

Ale ja musiałem być sam. Odetchnąłem powietrzem. Może się przejść.

Na dole w hallu szpitalnym panowała absolutna cisza. Słyszałem tylko odgłos moich kroków na linoleum.

— Oliwer!

Stałem.

To był ojciec. Oprócz nas w hallu znajdowała się tylko recepcjonistka. Byliśmy chyba jedynymi ludźmi w Nowym Jorku, którzy o tej porze nie spali.

Nie potrafiłem spojrzeć mu w twarz. Szedłem prosto do obrotowych drzwi. Ale on już stał przy mnie.

— Oliwer — rzekł. — Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Przejmujące zimno na dworze dobrze mi robiło, bo byłem zupełnie odrętwiały i chciałem czuć cokolwiek. Ojciec mówił dalej, a ja stałem bez ruchu, wystawiając twarz na zimny wiatr.

— Natychmiast, kiedy się dowiedziałem, wskoczyłem do samochodu.

Zapomniałem marynarki; chłód zaczynał sprawiać mi ból. To dobrze, dobrze.

— Oliwer — mówił nagle ojciec. — Chcę pomóc.

— Jenny nie żyje.

— Przepraszam — powiedział głuchym szeptem.

Nie wiem dlaczego, powtórzyłem mu wówczas to, czego kiedyś nauczyła mnie piękna dziewczyna, teraz martwa.

— Kto kocha, nie potrzebuje nigdy mówić: przepraszam.

A potem zrobiłem to, czego nigdy nie uczyniłem w jego obecności, a już na pewno nie w jego ramionach. Zapłakałem.